

PIOSENKA KATARYNIARZA

NORA ARGUNOWA

PIOSENKA KATARYNIARZA

Opowiadania o zwierzętach

Tłumaczyła Janina Karczmarewicz-Fedorowska Ilustrował Józef Czerwiński

OD AUTORA

W leśniczówce, w której mieszkałam, zdarzyło mi się ewnego razu podpatrzeć coś zupełnie niezwykłego. W upalne południe do domu leśniczego podjechał mężczyzna na koniu, ►ył to złośliwy i ordynarny chłop, którego znali wszyscy, dyż pochodził z sąsiedniej wsi. Nim ruszył w stronę domu, rzywiązał konia u płotu, a że w taki żar nie postawił go w cieniu, :cz w pełnym słońcu, łatwo można było się domyślić, jak bchodzi się ze zwierzętami.

Gospodarz oddalał się, a koń odprowadzał go wzrokiem, rdy tylko jego pan skrył się za drzwiami, koń podniósł łeb, yciągnął szyję, cały jak gdyby się rozprostował i z zacieka-ieniem zaczął się rozglądać dookoła. Zauważył stajnię i przez tiwilę wpatrywał się w otwarte na oścież wrota, ale nikogo im nie było. Dostrzegł kwokę z piskletami, bacznie obserwu-cą zawieszonoego na niebie jastrzębia, więc także odszukał ę wzrokiem i dalej śledził z całą uwagą. Za budynkami leśni-rówki, na drodze, zaturkotał wóz. Koń zadarł łeb i długo zainteresowaniem czekał, kiedy nareszcie wóz ukaze się omiędzy zabudowaniami, żeby mógł stwierdzić, kto jest on zaprzężony.

Gospodarz wyszedł na ganek. Spojrzałem na konia i ogar-ęło mnie zdumienie. Przed chwilą stał przede mną dumny limak, postawny, ze swobodnie uniesionym łbem, o żywym mądrym spojrzeniu. Ale wystarczyło, że zobaczył gospodarza, natychmiast jak gdyby się skurczył, ugiął kark, stulił uszy, rzymknął do połowy oczy, a w całym jego wyglądzie pojawiło ię coś sztucznie tępego, niewolniczego i złego.

Minęło od tej pory kilka lat, a ja nie mogę zapomnieć ;go wydarzenia. Zwierzęta rozumieją znacznie więcej, niż am się wydaje. Na podobieństwo człowieka garną się do ieszczoty, a napotkawszy obojętność cierpią i budzi się 7 nich złość.

'1

SYNECZEK

Przyszedł na świat przed dwoma zaledwie miesiącami, ale już wiele rozumiał. Delfiny w ogóle są bardzo mądre, więc i dzieci ich także wcześniej nabierają rozumu. Malec kochał matkę i bał się swojej ciotki. Alboż to nie wie, jak trzeba żyć? Wszystko wie! A ciotka śledzi za nim złym wzrokiem i co chwila komenderuje:

- Do góry! Szybko!

Kiedy był całkiem malutki, mama albo ciotka podpływały pod niego i grzbietem wypychały nad wodę, żeby zaczerpnął łyk powietrza. Ale teraz przecież już sam wie, co i jak!

Po raz ostami ciotka zbesztala go przed chwilą. Ssał właśnie mleko, a kiedy zaspokoił głód, wypuścił kropelkę z pyszczka. Mleko delfinów jest gęste jak masło i nie rozplywa się w wodzie, lecz pozostaje zawieszono w kształcie kulki.

Delfinek wypuścił taką kulkę, popchnął ją nosem i pognął za nią. Dopędził, chciał pchnąć raz jeszcze, ale chybił i popłynął wyżej. Maślana kuleczka prześliznęła mu się po brzuszku tak łaskocząc, że zatrzepotał płetwami, zaczął tłuc ogonem w wodę i nagle zamarł, nie pojmując, co się z nim stało. A stało się to, że zawisł głową w dół!

8

Skądś z głębiny podsunął się do niego wielki łeb i ciotka iskrzypiała: - Do góry!

Delfinek sam wyczuwał, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma łyknie wody. Więc popędził, żeby jak

najprędzej wystawić 3S z morza. Miał on dwa nosy: pierwszy, stanowiący zamknięcie pyszczka, był pozbawiony nozdrzy. Drugi, którym idychał, właściwie nie był nosem, lecz jedynie nozdrzem, workiem umieszczonym na czubku głowy. Tak, u delfinów lajduje się on na czubku głowy, bo tak im jest wygodniej. W wodzie otworek się zamyka, a kiedy delfin wypływa — natychmiast się otwiera.

Delfiniątko wystawiło czubek głowy, zrobiło wdech, zarypnęło czystego powietrza. Wysunęło się jeszcze bardziej zaczęło się rozglądać. Wszystko wokół było błękitne i złote. Błękitne niebo ze złotym słońcem i błękitne, wyłoczone morze.

Malec zapragnął zobaczyć coś więcej. Ogonek mu zatrzepotał, a ciało stanęło nad wodą niczym świeczka.

Z wysokości ześliznęła się mewa na rozplaszczonych skrzydłach. Delfinek wystraszył się i plusnął do wody, wzniesając bryzgi. Nigdy dotychczas nie spotkał mewy, toteż śledził ją z zaciekawieniem. Ptak usiadł nie opodal na wodzie. Delfin z dołu mógł dostrzec jego łapki z pazurkami oraz srebrzysty brzusek. I me-

9

wa bacznie mu się przyglądała poprzez wodę. Nad nią zaczął krążyć drugi ptak. Mewa zadarła główkę. Delfinek podskoczył, ubódl ją czołem i ptak zerwał się jak oparzony, spieniając skrzydłami wodę.

Potem delfinek podjadł sobie i zasnął, leżąc obok matki. Kiedy wypływała na powietrze, on także wypływał razem z nią, nie budząc się wcale i nie otwierając oczu. Stara ciotka ulokowała się tuż obok. Nie milknąc ani na chwilę, pouczała mamę, która słuchała w zamyśleniu. Delfiny nie czytają książek i o życiu dowiadują się tylko od starszych.

Delfiny mają własny język i - rzecz jasna - każdy z nich ma swoje imię. Delfiniątko miało je także. Jeżeli je wymówić w języku delfinów, ludzie nic nie rozumieją. Usłyszą jedynie dziwne przytknięcie z przyświstem, które oznacza nie wiadomo co. Przecież nikt dotychczas nie nauczył się mowy delfinów. Oczywiście, to przytknięcie z przyświstem można by przełożyć na język ludzki i wtedy wyszłoby Grześ lub Teoś.

Jego mama także miała swoje imię. Gdy ktoś ją wołał, brzmiało to tak, jakby na wrzącym imbryku podskakiwała pokrywka:

- Trr! Tr! Tr!

Ludziom ten dźwięk wydałby się ostry, ale dla ucha delfinów brzmiał przyjemnie. Być może taka podskakująca pokrywka oznaczała na przykład właśnie subtelne imię Maria.

10

Delfinek obudził się i zobaczył innego małego delfinka, uganiającego się za rybą-igłą. Delfiny, nawet zupełnie malutkie, poruszają się zdumiewająco szybko, są najlepszymi pływakami na świecie. Więc oczywiście tamten malec schwytał rybę. Za ogon. A nasz za głowę. No i oba zaczęły ciągnąć nieszczęsną każdą w swoją stronę. Ale w tym momencie zbliżył się do nich jeszcze jeden delfinek, nieco starszy. Był to delfinek-dziewczynka.

Gdyby na nie popatrzyli ludzie, nie umieliby powiedzieć, czym się ta trójka od siebie różni; chyba tylko tym, że jeden z delfinów jest nieco większy. Wszystkie miały ciemne grzbiety, olśniewająco białe brzuchy i wypukłe czoła. A przecież mordka Delfinka była nieco krótsza, szersza i miała naiwny, ufny wyraz. Fizjonomia tego, który trzymał rybę za ogon, była przebieglejsza, żrenice jego latały w różne strony i można było natychmiast się zorientować, że jego mamusia będzie z nim miała nie lada kłopoty.

Delfinek-dziewczynka zapowiadała się na prawdziwą piękność. Już teraz była śliczna ze swoimi niezwykle równymi ząbkami i delikatnym, mocno napiętym ogonem zakończonym płetwą rias kształt kokardy. Podbródek miała wysunięty do przodu, a stale uniesione kąciki warg przydawały jej wyraziście śmiałości, a zarazem dobroci.

Zbliżyła się do delfiniątek walczących o rybę i bez wa-

12

hania chwyciła ją pośrodku. Ale w tej chwili cała trójka poczuła brak powietrza, więc z rybą w pyszczkach delfiny wypłynęły, po czym zanurzyły się z powrotem.

Delfiniątko-dziewczynka tylko spojrzała w stronę jednego, potem drugiego i oba nieśmiało wypuściły rybę.

Trzymając zdobycz, delfinek-dziewczynka spokojnie popłynęła dalej. Ogon delfinów nie porusza się w prawo i w lewo jak u ryb, lecz do góry i na dół. Dziewczynka płynęła tuż pod powierzchnią wody głośno plaskając ogonem, co u delfinów jest oznaką dobrego humoru.

Mijały dni. Nasz malec szybko rósł i jego rozumek pracował niezmiernie. Pewnego dnia zauważył w rozpadlinie skalnej węgorza. Próbował dosięgnąć go zębami, ale szczelina okazała się za wąska. Wówczas zaczął szybko poruszać płetwami. Woda zakotłowała się, zawirowała; delfinek chciał, żeby prąd wyniósł węgorza. Ten jednakże zaszył się jeszcze głębiej.

Delfinek znieruchomiał i zaczął się zastanawiać, po czym wypłynął, nabrał jak najwięcej powietrza i szybko się zanurzył. Słyszał, jak go woła matka, ale nadal płynął w dół bez zatrzymania. Mógł już rozróżnić dno pokryte lasem kudłatych, silnie rozkołysanych wodorostów oraz majestatyczne ryby przesuwane się ponad tym lasem.

Pędząc co sił, Delfinek gorączkowo szperał wzrokiem. Wreszcie znalazł to, czego szukał: wśród ryb kręcił się kłu-

13

jacy morski jazgarz. Delfinek chwycił go i szybko ruszył do góry...

Trzymając jazgarza w pyszczku, skierował się ku skale. Węgorz siedział tam nadal. Delfinek wepchnął do szczeliny kłującego jazgarza. Węgorz nie wytrzymał i wypłynął w węzowych skrętach. Wtedy Delfinek go capnął, ale zaraz wypuścił. Nie zamierzał bynajmniej zjadać węgorza.

Wypłoszył upartą rybę ot tak sobie, po prostu dla psoty..

Tymczasem wodorosty na dnie kołysały się, gdyż morze zaczynało się burzyć. Delfiny zawsze wiedzą, kiedy zbliża się fala, i potrafią zawczasu rozpoznać jej siłę.

Nadciągał sztorm.

Stado zawróciło na pełne morze, dalej od brzegu, gdyż zdarza się, że podczas burzy delfiny kłocą się o głazy lub zostaje wyrzucony na ląd, gdzie ginie z braku wody.

Ale na pełnym morzu delfiny się nie uspokoily, lecz dalej rozmawiały ze sobą pełne trwogi, nie spuszczać oczu ze swoich maleństw; jak to często bywa, dzieci nie podzielały obaw dorosłych.

No bo cóż złego może im się stać, skoro starsi znajdują się tuż obok?

Im wyżej wznosiły się fale, tym większa wesołość ogarniała delfinią dzieciarnię. Oczywiście, nie całą, bo niektóre maluchy uspokoily się i ze strachem tuliły do dorosłych.

Nasz Delfinek właśnie w tej chwili wynalazł wspaniałą

14

zabawę. Wspinał się na szczyt wodnego wału, razem z wodą na łeb na szyję spadał w dół, w przepaść, aby natychmiast wznieść się znów ku górze i runąć z wysokości. Kiedy znajdował się na szczycie grzywacza, widział dookoła pociemniałe morze z syczącymi grzebykami piany. A kiedy spadał, serce zamierało mu ze strachu, ledwie mógł się powstrzymać od pisku!

Nagle dojrzał zbliżający się ląd, a przecież dobrze już wiedział, czym jest dla delfina ziemia w czasie sztormu.

Chciał popłynąć z powrotem, ale gdzież tam! Pociągnęło go do brzegu. Zaczął się zachłystywać, nie zdążył jak należy złapać tchu i szamotał się, i wrywał ku górze: tak jak człowiek, nie mógł żyć bez powietrza.

Niosło go ku lądowi. Nie miał sił, żeby stawić opór.

Dookoła uwijały się i wyraźne cienie. To stado podążało za swoim maleństwem, nie chcąc pozostawić go na pastwę losu. Ale cóż mogło zrobić stado delfinów przy samym brzegu, gdzie wał wodny staje dęba niosąc oszalałe ryby, wodorosty i kamienie, a potem z rykiem spada na ziemię wstrząsając nią i zgrzytając grubym żwirem!

Delfinka wciągnęło w wąskie wrota pomiędzy dwiema skałami i nagle znalazł się w zatoczce.

Na brzegu siedziały dwie osoby: mężczyzna i chłopczek. Obaj patrzyli, jak unosi się i opada woda

w zatoczce i jak po tamtej stronie odgradzających ją skał morze wścieka się i ry-
15

czy, jak piana wzlatuje całymi płatkami, a skały huczą groźnie.

Fala wezbrała i wyrzuciła coś na brzeg. Natychmiast powierzchnia zatoczki pokryła się czarnymi płetwami i wypukłymi, błyszczącymi grzbietami. Zjawiały się i umykały, obłe jak segmenty olbrzymich kół kręcących się w głębi morza.

Ludzie zbliżyli się do dziwnego morskiego stworzenia, które leżało na boku. Miało ono miękkie płetwy i tępą, dziecinną mordkę.

- Nie żyje - odezwał się chłopczyk i kucnąwszy przeciągnął palcem po gładkiej skórze delfina.

Ledwo go dotknął, a już Delfinek wygiął ogon, nastawił płetwę piersiową i zaczął się ruszać, usiłując przewrócić się na brzuch. Wydobył z siebie cienki, przerywany gwizd, a ludzie dali susa w bok, gdyż z morza wyskoczył wielki, piękny delfin i ciężko upadł obok małego.

To matka pospieszyła na ratunek syna.

_ i-i-i-i-i! - wzywał Delfinek, a z morza jeden po drugim wyskoczyły jeszcze trzy delfiny.

Pozostałe denerwowały się, wynurzały z wody, podskakiwały, żeby dojrzeć, co też się tam dzieje na brzegu, tak że cała zatoka wprost kipiała.

Mężczyzna zrzucił z siebie płaszcz. Razem z chłopczykiem przeturlali na płaszcz dużego delfina i powlekli go do wody. Zostawili go w morzu i pobiegli po drugiego. Ale pierwszy

16

znów wyskoczył na brzeg prosto do maleństwa, które nie przestawało gwizdać. Nawet ryk morza za skałami nie mógł zagłuszyć tego przenikliwego, żalostnego, rozdzierającego dźwięku.

- Zupełnie powariowały! - krzyknął zrozpaczony chłopiec, kiedy jeszcze jeden delfin wyskoczył z powrotem na brzeg.

Mężczyzna ukląkł przy Delfinku.

- Trzeba zacząć od tego szkraba — powiedział wstając z kolan z Delfinkiem na ręku i ruchem głowy odrzucając z czoła mokre włosy.

Zaniósł Delfinka do morza, wsadził do połowy w wodę i trzymał tak, uważając, żeby woda nie wpadła mu do otworu oddechowego na czubku głowy. Czekał, żeby Delfinek nabrał dość sił do pływania. Jednocześnie patrzył, jak inni ludzie, którzy przybiegli nad zatokę, przenoszą do wody pozostałe dorosłe delfiny.

Morze uspokajało się, ale przy brzegu miało jeszcze niezbyt zachęcający wygląd, toteż stado szybko popłynęło w stronę widnokregu.

Delfinek czuł się znakomicie, ale jego matka mocno się potłukła o wystający na lądzie głaz, więc delfiny podtrzymywały ją z obydwu stron.

Ciotka także dwukrotnie wyskakiwała do Delfinka, ale na szczęście ani trochę się nie poturbowała. Teraz już nie spuszczała z niego oka!

Malec z poczuciem winy zerkał na dorosłych, którzy w milczeniu pruli wodę dookoła niego, pracował ogonem i płetwami, skóra ruszała się na nim z wysiłku - tak się stara!

Aż tu jak na złość zobaczył pod sobą niewielkiego żółwika, trzymającego meduzę. I chociaż sam nie jadał meduz, to jednak rzucił się do żółwia i wyszarpnął mu zdobycz. Ciotka nawet mrugnąć okiem nie zdążyła, a już był z powrotem i ulokował się koło górnej płetwy mamusi, tak jak przystoi dobrze wychowanemu delfiniątku. Cichaczem wypluł meduzę...

Stado oddalało się- coraz bardziej od niebezpiecznych brzegów, aż wreszcie minęło pas, za którym woda była już błękitna, a na tej ciemnobłękitnej wodzie kołysały się złote, słoneczne ryby.

CZARUŚ

W leśnictwie tiszkowskim było sześć dorosłych koni i jeden źrebak, wielkogłowy, z kusym ogonem, obrośniętymi pęcina-mi i wężlastymi kolanami, na krótkich silnych nogach - już teraz można było bez trudu odgadnąć, że wyrośnie na dobrego roboczego konia.

Na imię miał Cezar, ale z powodu miłego usposobienia przezwano go Czarus. Czarus kochał wszystkich, do wszystkich miał zaufanie, chętnie brał z ręki chleb i cukier; co do cukru, to nauczył się go już nie brudzić, nie wypuszczać na ziemię, lecz zgrabnie umieszczał kostkę między zębami, żeby schrupać ją głośno w ciągu sekundy.

O pięć kilometrów od leśnictwa znajdowała się wieś Rżawki. Prawie każdego dnia, udając się na stację, a potem wracając, przez teren leśnictwa przejeżdżał wóz, za którym biegł wiejski źrebak Hamlet, tak samo kosmaty jak Czarus, tylko że nie kasztanek, lecz siwy.

Kiedy wóz nadjeżdżał, Czarus kiwając wielkim, poczciwym łbem ruszał na spotkanie, podchodził do wiejskiego kolegi, kroczył obok niego, obwąchiwał mu kark lub pysk i odskubywał żdźbło trawy akurat w tym miejscu, gdzie i Ham-

19

let. Często nawet szedł za wozem do wsi Rżawki, a stajenny Paweł pozwalał mu na to i wcale się o niego nie martwił.

Owej nocy, kiedy źrebakowi przydarzyła się niezwykła, zdumiewająca przygoda, Paweł także się o niego nie trapił, gdyż był pewien, że Czarus nocuje w kołchozowej stajni.

Miało się ku wieczorowi. Na polance, dookoła której stały budynki leśnictwa, z powagą spacerowały gęsi; pod budą, brzęcząc łańcuchem, pies Hultaj szlifował starą kość, a przy studni tłoczyły się konie.

Stajenny Paweł był przy nich. Zanurzał pędzel od golenia do puszki po konserwach wypełnionej po brzegi dziegciem i trzymając Karakuszę, matkę Czarusia, za uzdę, smarował jej pysk starając się nie trafić do oczu. Karakusza stała cierpliwie, wiedząc z doświadczenia, że dziegieć uchroni ją od gzów.

Na łące było jeszcze widno. Czerwone o zachodzie niebo łamało się w kłodzie napełnionej wodą, z której piły konie, ale las za budynkiem zasepił się i szumił wieczornie. Czarus napił się już i teraz czekał, żeby dorosłe konie zakończyły codzienne czynności, weszły do stajni i zajęły swoje przegrody.

I właśnie w chwili, kiedy wszyscy byli pochłonięci swoimi sprawami, z lasu wynurzyły się dwie czworonożne postaci i zatrzymały na skraju, wpatrując się w łączkę. Postaci te, jedna duża, druga mała, przypominały znajomych ze wsi, więc Czarus poszedł w ich kierunku.

20

Ale okazało się, że wcale nie były ze wsi. I że w ogóle nie były końmi, lecz jakimiś innymi stworzeniami o innym zapachu, innym wyglądzie, a także - Czarus wyczuł to, nim jeszcze do nich podszedł - o innym, nie końskim zachowaniu. Wiejska klacz i jej źrebak zazwyczaj wychodziły z lasu na łąkę spokojnie, obojętnie, te zaś stały jak wryte, czujne, a kiedy Czarus się zbliżył, większe zwierzę groźnie tupnęło nogą. Mniejsze natomiast patrzyło z zaciekawieniem. Było tego samego wzrostu, co Czarus, było kolegą, toteż Czarus życzliwie tknął je nosem w kark. Duże się odwróciło i stąpając bezgłośnie irogą wydeptaną pomiędzy korzeniami poszło w las; mniejsze pospieszyło za nim, a Czarus ruszył ich śladem.

Nikt nie zauważył, kiedy cała trójka zniknęła. Tylko Kara-aisza niespokojnie zadreptała w miejscu, szarpnęła uzdę tak, że stajenny na nią krzyknął...

Z drogi skręciły w gęstwinę leśną. Łosza szła przodem, rozsuwając krzaki i rozglądając się z niepokojem. Znała kolie i bała się ich, choć wiedziała, że Czarus jest jeszcze mały, ile w żaden sposób nie mogła pojąć, po co za nimi idzie. Może chce skrzywdzić jej dziecko? Widziała doskonale, jak krótko-riogi Czarus, gruby i niezdarły w porównaniu z jej długonogim, smukłym cielątkiem, z trudem przedziera się przez zarośla i ciągle przyśpieszała kroku w nadziei, że zacznie zostawać w tyle.

4

21

Jednakże Czarus nie zostawał w tyle. Rozdrapywał pierś o gałęzie, zbijał kopyta na wybojach i pędził resztkami sił, starając się nie stracić z oczu przemykającego przed nim jasnego zadu swojego nowego znajomego.

Kiedy przybyły na miejsce, już się ściemniło. Wielka, pusta, dzika polana, pełna zwalonych drzew z dziwacznie sterczącymi korzeniami, objawiła się im w bladym, nocnym oświetleniu. Wąskie jezioro o grząskich brzegach kołysało gwiazdy na leniwej, czarnej wodzie. Łosza więznąc w glinie stąpnęła do wody i zatrzymała się w samym środku, tak że widoczny był tylko jej długi łeb i niekiedy błysk oczu. Łosiątko także weszło do wody i obejrzało się na Czarusia. Ten zaś, ślizgając

się na glinie i człapiąc kopytami, ruszył jego śladem; rozgorączkowany, zmordowany, zanurzył się w wodę z rozkoszą. Łosiątko napiło się, Czarus również, po czym cała trójka popłynęła jeziorem. Czarus jeszcze ani razu w życiu nie pływał, ale wcale nie odczuwał strachu. Tak jak zawsze, miał niezachwianą pewność, że nic złego nie może mu się stać i chociaż musiał kurczowo poruszać nogami i wysoko zadzierać głowę, żeby się nie opić wody, wesoło zerkał na łosiątko i starał się płynąć tak, żeby je dotykać kłębem. Przeciwny brzeg był już niedaleko, ale łosza nagle zawróciła i przepłynęła obok nich. W dodatku - gdy była obok Czarusia - parsknęła i obryzgała mu deszczem kropel cały pysk. Czarusiowi także zachciało się zżęcznie parsknąć. Opuścił łeb, ale woda napłynęła mu do nozdrzy w oczach pociemniało i kiedy wyczuł pod kopytami ziemię z hałasem wyrwał na brzeg.

Gdy obejrzał się, zobaczył, że tamtych dwoje odpływa. Wówczas truchtem pobiegł za nimi wzdłuż brzegu. Cielal wylazł, otrzepał się, a uspokojony Czarus położył łeb na jego mokry, ciepły grzbiet. Łosza jeszcze długo stała w wodzie i gwiazdy kołysały się przy jej głowie.

Zwierzęta wróciły do lasu. Tutaj w odludnym osikowym zagajniku, pod rozłożystym, otoczonym krzakami drzewen znajdowało się ich legowisko - zmięta trawa i bielejące w ciemnościach, pogryzane pnie młodych drzew. Łosiątko ułożył się zginając cienkie nóżki na pół, łosza stanęła nad nim. Czarus uwalil się tuż obok przygniatając jej kopyto, tak że nerwów przestąpiła z nogi na nogę.

Łosiątko wyciągnęło szyję, zdarło zębami trochę kory szarpnęło ją odrywając wąski pasek i zaczęło przeżuwać. Czarus także wydawszy wargi podrapał pień przednimi zębami. Ależ nowość! W pysku poczuł wspaniały smak, o wiele ostrzej szy od rzodkiewki, którą nauczył się ściągać w leśnictwie z ogrodowych grządek. Teraz bacznie śledził łosiątko: co te jeszcze będzie jadło? Malec zerwał trochę mchu. Czarus zrebił to samo.

24

Wreszcie łosza także się położyła. Niebawem zasnęła, ale oddychała cichutko, często wstrzymując oddech i nasłuchując, a jej uszy obracały się czujnie na najmniejszy szelest. Łosiątko spało beztrudnie, drgając przez sen i przebierając nóżkami. Na pewno śniło mu się, że biegnie czy płynie, a raz nawet przywidziało mu się, że skacze przez pień, więc całe się szarpnęło i spojrzało na Czarusia zaspanymi dziecięcymi oczami.

Czarus nie mógł zasnąć. Jego jeszcze nie puszczano na nocne pastwiska, toteż po raz pierwszy w życiu nocował na swobodzie. Wszystko tu było dla niego nowe: i dźwięki, i zapachy, i ruchy tajemniczego, nocnego lasu.

Wielki ptak bezdźwięcznie prześliznął się na rozpostartych skrzydłach pomiędzy czarnymi pniami; oczy błyszczały mu jak u kota, który mieszkał w leśnictwie. Jakieś nieznanne zwierzątko podeszło, wyciągnęło giętką jak u gęsi szyję, spojrzało na Czarusia i musnąwszy puszystym ogonem jego nogę - zniknęło. Potem na ziemi zjawiła się zielona iskra, która migotała i mieniła się, a Czarus zauważył ze zdumieniem, że to coś żywego, co pełza. Dotknął jej nosem, żeby powąchać, ale wtedy zgasła...

Wilgotna mgła pełna zimnego, cierpkiego zapachu traw, ałkiem innego niż dzienny, który tak przyjemnie było głęboko ociągać w płuca, a przede wszystkim dziwny odór łosi oszołomił Czarusia aż do zawrotu głowy; mgliste obrazy i marze-

25

nia wypełniły jego duszę. To widział karego ogiera, jak go po raz pierwszy zaprzęgano do wozu, a koń zbiesił się, zarzał, stanął dęba, poniósł i w drobny mak rozwalil wóz. Czarus nie mógł pojąć, co go wtedy tak zdumiało w ogierze, a kiedy teraz przypomniał to sobie, skóra na grzbiecie aż zadrżała z zachwyty... To znów majaczył mu się stajenny Paweł odbierający grabiami siano na czubku stogu; musiał w tym celu wleźć wysoko, pod samo niebo, a Czarus wyobraził sobie, że to nie Paweł, lecz on sam dumnie stoi na tej szalonej wysokości, a gęsi, które nigdy nie zwracały na niego najmniejszej uwagi, pies i nawet sam ów kary ogier Mitka patrzą na niego z dołu z obawą i szacunkiem. Albo powracał w pamięci płynący w niezmierzonej niebieskiej dali obłok - dopiero całkiem niedawno, jakieś trzy dni temu, Czarus zauważył, że obłoki suną po niebie - i roilo mu się nie wiadomo co: niby że to właśnie on jest tym obłokiem o oślepiająco białej sierści i białej grzywie

i że skacze po błękitnej łące, i skubie błękitną trawę...

Przez całą noc nozdrza Czarusia chciwie drgały, boki unosiły się kurczowo, a w biednej łepetynie działo się coś takiego, że nie sposób opisać słowami. Dopiero kiedy sztywne listki osik zaszeleściły w przedrannym wietrze, a mgła ruszyła i czepiając się krzaków popęzła ku wierzchołkom drzew Czarusia zmorzył sen. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że łosie zniknęły.

26

Żrebak zerwał się na równe nogi i zarżał na cały las. Nikt się nie odezwał. Wyteżył słuch, ale dobiegł go tylko szelest drzew i krzaków. Obwąchał ziemię. Zwierzęce ciepło uderzyło w nozdrza, więc znów wysoko zadarł łeb i zawołał. Wreszcie smutny powłókł się przed siebie.

Do domu wrócił dopiero po dwóch dniach. Wszyscy już wiedzieli, że nie był w Rżawkach.

Koniuszy Paweł bardzo się ucieszył, gdy zobaczył, że Czarus wychodzi z lasu. Podeszedł do niego z wyciągniętą dłonią, ale żrebak szarpnął się nagle i Paweł zauważył ze zdziwieniem, że sierść na grzbiecie stanęła mu dęba. Wyglądał wręcz niesamowicie: boki zapadnięte, grzywa skołtuniona i cała w rzepach, spojrzenie niespokojne... Dopadł kłody przy studni i pił, i pił nie odrywając ani na chwilę pyska.

Do samego wieczoru nie dopuszczał do siebie stajennego Pawła, wciąż uciekał na skraj lasu, tam gdzie się zaczyna wydeptana wśród korzeni droga i patrząc w las kogoś nawoływał.

Dopiero Karakuszy udało się zwabić go do stajni. Ale i tutaj, skoro tylko zapadły ciemności, ogarnęło go podniecenie, co rusz podchodził do drzwi i poprzez szpary w deskach hałaśliwie wciągał nocne powietrze.

Nazajutrz oprzytomniał. Znowu pozwalał się głaskać, znowu z wielką przyjemnością chrupał cukier, a wieczorem czekał cierpliwie, żeby dorośli zakończyli swoje sprawy, żeby

27

można było wejść do stajni, zaszyć się w swojej przegrodzie i spać.

Tak się zakończyła ta zdmniwiająca przygoda, o której sam Czaniś i wszyscy inni szybko zapomnieli, a której sensu nikt nigdy nie przeniknął.

OPOWIEŚĆ O GAŚIĄTKU

Na gęsiach jajkach siedziała kura. Gęsi trzeba wysiadywać miesiąc, a miały się one wykluć dwunastego maja. I oto dwunastego rano do obórki weszła Gospodyni. Nie na podłodze, lecz wyżej, na grzędzie - żeby krowa nie rozdeptała i żeby od podłogi nie ciągnął chłód - przymocowany był kosz, z którego bacznie, a zarazem z niepokojem spoglądała biała kura. Nawet w nikłym świetle wyrąbanego w belkach otworu widać było, że długi grzebyk kwoki pobladł i zwiesił się na bok od trosk i bezsennych nocy.

Gospodyni wsadziła rękę do kosza i wyciągnęła wielkie gęsie jaje. Było gorące, jak wyjęte z wrzątku. W tym ciężkim, gorącym jajku pojawił się już ślad - przebite z boku okieneczko. W głębi leżało gąsiątko. Całe było jeszcze w jajku, a na zewnątrz wystawał tylko jego szeroki, zakończony pryszczkiem dzióbek. Dziób ten otwierał się i zamykał, z zaferowaniem coś przeżuwał i od czasu do czasu piszczał. Kwoka patrzyła z kosza na Gospodynię i milczała: umierała ze strachu o swoje jajko. Więc Gospodyni położyła je z powrotem, okienkiem w dół. Tak właśnie obraca jajko sama kwoka, pewnie po to, żeby przypadkiem nie podrapać noworodka łapą.

29

Nazajutrz wykluły się wszystkie. Pisklę, które wyszło z jaja pierwsze, było jaskrawożółte, bez plamek, co oznaczało, że z czasem będzie białe jak łabędź. Miało delikatny różowy dziób.

Pierworodne gąsiątko posadzono w pokoju na parapecie, w pudełku od herbatników, żeby schło na słońcu. Ostatnie zaś, które przed chwilą wyswobodziło się ze skorupki, położono do starej dziecinnej czapki-uszanki. Zupełnie jeszcze niedołęzne pisklę leżało na boku, a jego mokry puch i nawet-dziób były czarne.

Następnego dnia gąsięta już spacerowały. Było ich dziewięcioro i wszystkie, co do jednego, czy to z jasnymi, czy z ciemnymi dziobami, z dużymi i małymi planikami na grzbietach, otoczyły swoją matkę-kwokę i wygrzewały się na słońcu. Często zrywały się, robiły dwa czy trzy nieporadne kroczyki i natychmiast Jaicały. Kiedy tak kroczyły, oczy im się otwierały szeroko, lecz wystarczyło,

by przysiadły - a oczy się zamykały i piskłeta natychmiast zasypiały. Tak minął pierwszy dzień: parę kroków - i patrzy, ledwo usiadzie - już śpi.

Na pokrywce od rondla gąsiętom wynoszono rozgotowaną kaszę jaglaną z mlekiem. Wtedy całe towarzystwo: biała z poczerwieniałym grzbietem kwoka i dziewięcioro pulchnych dzieci - gromadziło się dookoła pokrywki. Kwoka dziobała, piskłeta ją naśladowały. Tyle że ona stukała w blaszaną pokrywę z siłą, one zaś - ostrożnie, bo dziobki jeszcze im nie stward-

30

niały i jak trochę mocniej stuknąć - zaraz bolało.

Po następnej dobie gęsie piskłeta już biegały, ale łapki szybko im się męczyły, więc biegały tak, jak chodziły pierwszego dnia: pobiegną i usiądą, pobiegną i usiądą. Tyle że teraz, kiedy siadały, nie zapadały już natychmiast w drzemkę. Pilnie uczyły się skubać trawę, bez trawy bowiem gęsi nie mogą istnieć. Latem skubią ją przez cały dzień, zimą zaś muszą jeść chleb z ziemniakami. Ale bez trawy ani chleb, mi ziemniaki nie wchodzą im do gardła. Trzeba zaparzać siano - tę samą trawę, tylko suchą - i dodawać do karmy; wtedy zaczynają jeść.

Młode gąski przyzwyczajały się do trawy. Mogło by się wydać, że nie ma się do czego przyzwyczajać, wystarczy jakubnąć i zjeść. A jednak ta sztuka przychodziła im z trudem. Przede wszystkim w źdźbło trawy trzeba trafić, a że jest ono >ardzo wąziutkie, więc łatwo spudłować; następnie ledwo się go dotknie, a już się pochyla na bok lub do przodu, trzeba więc co sił wyciągać szyję, żeby dosięgnąć. Ale nawet gdy w końcu uda się je schwycić, przecież jeszcze trzeba je zerwać, [jeżeli się przymknie dziób nie dość szczelnie - trawa się wy-lizguje, jeżeli zewrze się go mocniej - źdźbło okazuje się ilne i w żaden sposób nie daje się zerwać. W dodatku urywa je najczęściej pechowo: albo taki malutki strzępek, że trud-10 go znaleźć w dziobie, albo taki długi, że nie sposób go

31

połknąć. Dodatkowa trudność polega na tym, że nogi jeszcze kiepsko trzymają i trzeba przed każdym źdźbłem siadać.

Wreszcie piskłeta nauczyły się skubać trawę i gdy tylko zaczęły się nią odżywiać, rosły nad podziw szybko. Minęło niewiele czasu, a każde było już dwa razy większe od jajka, w którym się nie tak dawno mieściło. Zręcznie zbierały i ziarno, i trawę, i kamyczki - kamyczki po to, żeby w wolu lepiej mełło się jedzenie. Nie obawiały się teraz odchodzić od kwoki, ale skoro tylko ogarniało je zmęczenie lub senność zaraz biegły do niej i chowały się pod skrzydła.

Jej kurzych skrzydeł nie starczało już dla dziewięciorgi udanych dorodnych dzieci. Troje lub czworo szczęściarzy zdążyło zająć lepsze miejsca, pozostałe zaś musiały kryć się, gdzie się dało. Biedactwa wsuwały więc pomiędzy pióra, jak najbliżej gorącego Jak samo słońce ciała, tylko swoje łebki. Gdybyście je zobaczyli w takiej chwili, oczom waszym ukazałby się dziwny obraz. Na ziemi siadła niewielka biała kura z rozczapierzonymi skrzydłami, ze wszystkich sił nastroszywszy pióra, a dookoła zgromadziły się gąsiątka, wsadziły w nią łebki i wystawiły na zewnątrz puchate kuperki. Pewnego pięknego dnia w glinie wykopano dół, nalane doń wody i popędzono tam całą rodzinę. Gęsie piskłeta już dawno umiały pić, ale ponieważ dotychczas piły tylko z miednicy, nigdy nie przyszło im do głowy

32

żeby się wykapać. A już w żadnym wypadku ani one same, mi ich mama-kura nie podejrzewały, że gęsiom wygodniej jest pływać, niż chodzić.

Nie domyślając się niczego, podeszły, przysiadły na skraju iołu i zaczęły pić. Tak samo jak jej potomstwo, siedziała i piła kura, przytykając z zadowolenia oczy. Tylko że wyżej zarzucała łebek niż jej dzieci, bo ich dziób był szeroki jak jzufelka, z jej zaś dziobka woda wylewała się z łatwością. Dzieci patrzyły na matkę i jak zwykle robiły wszystko jak i ona, tylko jedno gąsiątko, Pierworodny, ten, co miał być w przyszłości śnieżnobiały jak łabędź, nie patrzył na kwokę. Wpatrywał się w wodę, która grała, skrzyła się w promieniach słońca, i od tego migotania zakreśliło mu się w głowie. Nagle szalone, zuchwałe pragnienie zawładnęło gąsiątkiem. Nie zastanawiając się wstało, postąpiło do przodu, pośliznęło się na glinie, zjechało w dół i chlupnęło do wody. Kwoka zagadkała trwożnie, dzieci poderwały się ze strachu. Ale śmiałek był już daleko, całe pół metra dzieliło go od

brzegu, płynął wystawiając za siebie to jedną, to drugą pomarańczową łapkę : dumnie rozczapierzonymi, błoniastymi palcami. Szyję miał wygiętą jak dziób starożytnego okrętu, na różowym dziobku Irzały krople wody, w' rozszerzonych oczach o żółtej obwódce ikakały iskierki. Pierworodny wydał triumfalny pisk i oto edno«po drugim zaczęli staczać się i pluskać do wody jego

33

Ш

п. ииивн

№

> IX

Wzi

т

" s Ч'

т *~v ?

bracia i siostry. Na brzegu stała matka i przywoływała je, i wołała...

Zaczął się trzeci tydzień, gąski wyrosły i były teraz prawie :ak duże jak kwoka. Pierworodny stracił swoją jaskrawą barwę eóltka, był teraz nieokreślonego, białawego koloru z brudnożół-:ymi łatami. Ostatni zaś przybrał kolor mysiego futerka, i jego czarny dziób błyszczał jak daszek szkolnej czapki. Ale żadne z nich nie miało jeszcze ani jednego pióra; tylko puch, liemowłęcy puch otulał je od stóp do głów. Teraz nawet ich ebki nie mieściły się w matczyńskich piórach, toteż gąski drze-nały każda osobno, zakładając sobie łebek na grzbiet, albo lsiując go wsunąć pod własne chudziutkie gołe skrzydełko. [nie one już chodziły za matką-kwoką, lecz ona wlokła się ja nimi, za dostojnym gęsim stadkiem, skromnie poskubując xawę.

Ale na nóżkach stały jeszcze kiepsko. Wystarczyło, że iie któreś zatrzymało, a zaraz zaczynało się kołysać jak łódka w fali, kiedy zanurza się to dziobem, to rufą. Na podgórzu mieszkał kot, zwykły szary kot z żółtymi ślepiami. iCiedy przechodził obok nich (gęsimi nie interesował się vcale i nigdy nie zwracał na nie uwagi), zatrzymywały się)bowiązkowo. Zamierały bez ruchu lekko się kołysząc, odprowadzały go wzrokiem i wtedy dopiero widać było wyraźnie, aka to niesprawiedliwość: ciałko mają tej samej długości

35

co kot, ale ten ma cztery łapy, a one tylko po dwie...

Wreszcie zaczęły się pierzyć. Grzbiety i ogony nadal po zostały puchowe jak dawniej, ale za to na skrzydłach rząd z; rzędem wyrzynały się młode mocne pióra: u Pierworodnego czyste jak pierwszy śnieg, u Ostatniego delikatnej, popielate barwy.

Nie opodal leśniczówki przepływała rzeczka, a tuż pro niej znajdowała się łączka z ogryzionymi przez kozy krzakami z trawą upstrzoną piórami, które gęsi zrzucały, gdy się czyścił] po kąpieli. Na tej właśnie łączce, w tej rzeczce gąski spędzały; całe dni. Potrafiły już płynąć w szeregu, stadem i „gęsiego" umiały siedząc na wodzie opuszczać na samo dno swoje dłu gie szyje, a Pierworodny nauczył się tak świetnie nurkować że nie było go wcale widać; pewnego razu nawet złowił po< wodą rybkę.

Nieszczęście wydarzyło się później, kiedy w lesie zaczęły się obsypywać maliny, kiedy pod każdym młodym świerczkiem wyrósł biały grzyb, a po zimnym niebie nocami przelatował] spadające gwiazdy. Kwoka już przestała poznawać w wielkiel ptaszyskach, z którymi dziobała z jednego koryta, bezradna piskłeta, tulące się niegdyś pod je} skrzydła. Ale pewnej nocy kiedy drzemała na swojej grzędzie, usłyszała przez sen krótk pisk i jej macierzyńskie serce drgnęło. Otworzyła oczy, za częła czujnie nasłuchiwać i wtedy, poprzez cienkie ścian?

36

obórki, dobiegły ją z podwórza dźwięki cichej walki, nieuchwytnie dla ludzkiego ucha uderzenia o ziemię miękkich łap... Zagdakała, ile tylko miała sił, aż usłyszano ją w domu. Gospodyni zerwała się z łóżka, wybiegła na podwórze, gdzie się pasły gęsi.

Nie było ich tam. Chwyciła latarnię i dojrzała przy korzeniach brzozy ledwie widoczne w ciemności szare pióra porozrzucane po ziemi, delikatny młody puch i gdzieniegdzie krew. Wybiegła

za furtkę. Ponuro szumiały drzewa szarpane chłodnym jesiennym wiatrem i mogło się wydawać, że za każdym pniem przyczał się rudy zwierz, a z jego paszczy wyrывa się, gubiąc pióra, piękny ptak. Zobaczyła je na drodze pod mostem, gdzie rozpościerała się nigdy nie wysychająca kałuża. Wokół szeleściła trawa, wiatr marszczył lustro wody. Pośrodku siedziały gąski. Zbiły się tak ciasno, że sprawiały wrażenie skamieniałego ze strachu, wielogłowego ptaka. Nad wszystkimi łebkami górował jeden duży, z szerokim dziobem, z platformką na czole, z której lada chwila wyrośnie guzek: łebek Pierworodnego. Brak było tylko wśród nich szarej, z dziobkiem jak daszek szkolnej czapki, główki Ostatniego.

Teraz Pierworodny jest już dorosłym gąsiorem, ma swoją towarzyszkę - ufną, łagodną gąskę. Warto spojrzeć na nie, kiedy idą we dwójkę - przodem

37

ona, na niezbyt wysokich nóżkach, z łagodnym wygięciem szyi, a za nią on, przepiękny ptak o wypukłej piersi, z dumnie uniesionym, guzowatym łebkiem, śnieżnobiały, lśniący w słońcu tak, że aż razi w oczy. A wiecie, co się stanie, jeśli ktoś się do nich zbliży? Ona spokojnie poskubuje trawę, o nic się nie martwiąc, on zaś wyciąga się na całą wysokość, groźnie zadziera dziób do nieba i zezuje szarym, niedobrym okiem o zimnym, niebieskim odcieniu; Niekiedy otwiera dziób ukazując drgający język i syczy jak rozzłoszczony kot. Ochronia swoją towarzyszkę.

Jeżeli w gorący dzień ktoś wystawi do ogrodu kubek wody, natychmiast podejną razem i gęś beztrudnie wsadzi głowę po same skrzydła, tak że nic nie widzi dookoła. On także ma pragnienie, ale nie pije. Kiedy ona się rozkoszuje, on stoi sztywno na straży jak przewodnik dzikiego stada. I dopiero kiedy się odejdzie dalej, i gąsior nabierze pewności, że jego towarzysze nic nie zagraża, wtedy i on się napije. Zaczerpnie wody i roniąc z dzioba jasne krople, bystro rozejrzy się na wszystkie strony.

Gdy gęś idzie do obórki, do swego kącika, żeby znieść jajko - gąsior tęskni. W zdenerwowaniu nie przestaje dreptać, woła, gęga na cały rewir skrzypiącym głosem, a wszystkim się zdaje, że to przy studni ktoś kręci zardzewiałym kołowrotem. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że on zgubił żonę i ją do

38

siebie przyzywa. Nie, po prostu tęskni i tak jęczy i marudzi jak człowiek, który nie może sobie znaleźć miejsca. Doskonale wie, gdzie przebywa jego gęś, bo oto przestępuje próg komórki i wsuwa łeb pomiędzy deski zagrody. Tam ona leży, z szyją wyciągniętą na podłozie i w milczeniu patrzy na niego. On jej coś półgłosem opowiada w swoim gęsim języku, ale ona się nie rusza. Wtedy gąsior wychodzi na podwórze sam i znowu zaczyna głośno utyskiwać.

Kiedys gęś zachorowała. Wygrzebała dołek w sypkiej darni pod starym świerkiem i tam się ułożyła. Cztery dni nie wstawała z ziemi, a gąsior stał przy niej przez cały czas. Niekiedy odchodził i zaczynał ją przywoływać, żeby z nim poszła.

Gęś podnosiła się, robiła dwa kroki, ale widocznie brakło jej sił i znowu się kładła. Gąsior wracał natychmiast i zamierał przy niej bez ruchu.

Podobno kiedy łabędź traci towarzyszkę, to i on umiera. Na pewno to samo stałoby się z gąsiorem, gdyby przeżył swoją gąskę. Na szczęście wyzdrowiała, bo oto Gospodyni wygania oboje z podwórka nad rzeczkę, a Pierworodny stara się przepuścić gąskę przodem, żeby uderzenie witką spadło na niego.

NIEFRASOBLIWY SZCZUPACZEK

W przezroczystym wałdajskim jeziorze Nieluszka żył sobie Szczupaczek. Nie miał jeszcze skończonego roku, ale już teraz jego paszcza wyglądała groźnie, a badawcze spojrzenie przywodziło na myśl węża boa. Jego drobne ciało - tak jak u dorosłych szczupaków - wydawało się kuse, jak gdyby nie pozwolono mu rosnąć dalej, żeby się zbytnio nie wydłużyło, nie osłabło i pośpieszono się z przystawieniem ogona, tak aby Szczupaczek stał się krępy i silny.

Ale i tak nasz Szczupaczek długości ołówka, ze swoim złotym grzbietem o zielonkawym odcieniu i białym jedwabistym brzuszkiem, wyglądał niezwykle sympatycznie. Dlatego też nikt go się jeszcze nie bał, chyba tylko zupełnie drobniutkie rybki, ale kogóż się one nie boją? On zaś sam, z uwagi na młodociany wiek, nie rozumiał dobrze, czym jest niebezpieczeństwo i żył sobie aż nazbyt

beztrosko. Co prawda wielu uważało go za rozsądnego i zrównoważonego, gdyż lubił całymi godzinami wystawać pod jakimś odosobnionym listkiem i wpatrzony w jeden punkt, w zamyśleniu przebierał płetwami. Ale właśnie to przyzwyczajenie świadczyło o tym, że miał naturę skłoną do marzycielstwa.

41

Życie Szczupaczek rozpoczynał jak najwcześniejszym rankiem, ze wschodem słońca, a może nawet nieco wcześniej. Wiecie, dlaczego ryba najlepiej bierze o świcie? Bo wschód słońca jest widowiskiem przepięknym, a ryby nie gorzej od innych wyczuwają piękno i skoro świt śpieszą do góry, żeby móc zachwycić się brzaskiem dnia. Oczywiście większość z nich rozumie, że o tak niebezpiecznej porze lepiej jest siedzieć w domu i co mądrzejsze tak właśnie postępują, ale na szczęście dla rybaków istnieje na świecie jeszcze bardzo wiele lekkomyślnych ryb.

Tego dnia, ledwo zbudziwszy się i jeszcze nie przetarłszy oczu - ryby śpią z otwartymi oczami, jednak kiedy śpią, to także nic nie widzą oprócz snów - Szczupaczek poruszył lekko płetwami i wysunął się z listowia. W gąszczu wodorostów panowała jeszcze noc, ale wysoko nad głową zarysowały się już mgliście wielkie czarne kręgi. To leżące na wodzie liście wodnych lilii. A skoro można je było rozróżnić, oznaczało to początek świtu. Szczupaczek zjadł spiesznie śniadanie na sucho -dziobną odrobinę zielonej pleśni z łądyżek, wyciągnął z mułu jakąś wåtpliwej jadalności skórkę - i prędko pomknął do góry.

Wyplłynął i zamarł w zachwycie. Zebrało się tutaj moc gapiów, ale ani jazgarze, ani płocie, ani leszcze nie łączyły się z tłumem. Każda z ryb trzymała się bądź swojej kompanii,

42

bądź pojedynczo, bo życie ryb - to nie to co życie człowieka i wzajemne stosunki są tutaj o wiele bardziej skomplikowane. Drobiazg rybi wiercił się wszędzie i odskakiwał od wszystkich, ukleje trzymały się z dala od okoni, a płotki i klenie stroniły od dorosłych szczupaków. Każda spoglądała do góry, żeby nie przegapić wschodu słońca, ale jeszcze baczniej jedna patrzyła na drugą, żeby nie trafić komuś na ząb. Ponadto wiedziały wszystkie, że podchodzić pod samą powierzchnię wody jest niebezpiecznie, gdyż ani się obejrzysz, a już znajdziesz się w szponach jakiejś tam rybitwy.

Czas mijał, woda stawała się coraz bardziej przezroczysta, niebo zaczęło już przez nią przeświecać, ale nie zielone, jak to można było do niedawna przypuszczać, lecz niebieskie. Płetwy okoni, przed chwilą jeszcze szare, zarumieniły się; liść, pod którym przyczaił się Szczupaczek, zadrgał, pojaśniał i rozbłysł nieskończoną ilością szmaragdowych ziarenek... Zbliżał się wschód. I kiedy wszystko przycichło, szykując się na powitanie pierwszego promienia słońca, cudowne zjawisko przykuło uwagę Szczupaczka. Wśród codziennych twarzy i postaci mieszkańców jeziora, do których jego oko zdążyło się już przyzwyczaić, pojawiła się nagle złota rybka! Małutka, wytworna, błyszcząca tak, jakby słońce już stało wysoko na niebie i rzucało na nią swoje najjaskrawsze promienie. Tylko w cieołym trooikalnym morzu albo w akwarium znawcy i ama-

43

torą mogło się narodzić i rozkwitnąć coś tak doskonałego Czyjaż to zła wola zmusiła rybkę do tego, żeby się znaleźć w najzwyklejszej, zarośniętej rzęsą i wodnymi liliami wodzie nikomu nie znanego jeziora? Jakaż wiarę w siebie należy posiadać, żeby tak śmiało zjawić się w towarzystwie okoni i szczupaków, a potem przepłynąć bawiąc się i figlując obok zębatych paszczy i wycelowanych ze wszystkich stron drapieżnych spojrzeń.

Zaiste, tylko prawdziwa piękność może się poszczycić tak wspaniałą odwagą! A ponieważ zebrane tutaj ryby umiały docenić piękno, serca im zamarły, płetwy i ogony znieruchomiały, a nawet niektóre z nich, pogrążone w zadumie, wypuściły do góry pęcherze powietrza.

Szczupaczek po prostu skamieniał ze zdumienia i zachwytu. Całą jego istotę przeszyła radość, bowiem obserwowanie prawdziwego piękna może dać niezrównane szczęście. Ale ponieważ był jeszcze małutki i nie nagromadził dotychczas życiowego doświadczenia, dlatego nie wiedział, jak należy postąpić, kiedy zachwyt z taką siłą ogarnia duszę.

Wiedział to natomiast doskonale jeden z okoni, ten, który wyróżniał się wśród innych szczególnie pięknymi płetwami. Nim ktokolwiek się zorientował, okoń błyskając płetwami szarpnął się z

miejsca i jak strzała przemknął obok zagapionych kolegów prosto ku złotej rybce. Ta zaś bynajmniej się

44

nie wystraszyła, nie przyspieszyła ruchów, lecz dalej figlując i połyskując, kusząco i niedbale płynęła przed samym jego nosem. W tej sekundzie Szczupaczek także zrozumiał, co ma robić: skoczył w ślad za okoniem, lecz ten dopędził już przepiękną rybkę, schwytał ją... I nagle stało się coś przerażającego. Szczupaczek nie od razu zrozumiał, co zaszło i nie zauważył, jak ogarnięci paniką rzucili się do ucieczki i skryli wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu. Jeszcze podążał za okoniem, jeszcze ze zdziwieniem spoglądał, jak ten wygina się w kabłąk i rzuca się to w jedną, to w drugą stronę, albo napinając wszystkie płetwy usiłuje się zatrzymać. I jak nieznana siła ciągnie go coraz bliżej krańca wody, tam gdzie się zaczyna powietrze i gdzie ryba nie ma czym oddychać. Magle Szczupaczek zauważył, że z wargi okonia sterczy żelazny haczyk, a z ust wychodzi cienka, prawie niewidoczna litka. A więc to tak! Złota rybka nie była prawdziwa! Była prześliczna tylko na zewnątrz, dla przynęty, a wewnątrz okazała się kawałkiem najzwyczajszego, ordynarnego żelaza! [jakie to przykre, jakie okropne!

Okonia szarpnęło do góry, na powietrze. Woda zafalowała, rozbiegły się po niej kręgi. Na dole zaś, wzbijając tumany mułowego pyłu, zakołysały się wodorosty.

Nieprzytomny ze strachu Szczupaczek odskoczył jak najdalej od przekłętego miejsca. Płynął, płynął coraz dalej, opusz-

45

czał się coraz to niżej, ale wystarczyło, że uniósł oczy, a rozróżniał nad sobą wciąż to samo niebo i obłoki, już zarumienione od słońca. Nie mógł bez wstrząsu spojrzeć w niebo, chciał schować się tak, żeby nic nie widzieć i żeby jego nikt nie zobaczył. Schodził coraz głębiej, aż niebo zaczęło zmieniać barwę, z niebieskiego stało się żółte, potem zielone, potem brązowe i wreszcie zniknęło.

Szczupaczek znalazł się na straszliwej głębini, której istnienia nie podejrzewali nie tylko przyjezdni, ale nawet miejscowi rybacy. Jama znajdowała się w odległej części jeziora, tam gdzie na grząskim brzegu, wśród burzanów, stała rozpadająca się, opuszczona mała łaźnia.

Tutaj na dnie nie było nawet wodorostów, tylko zatopione pnie, karpy dziwacznie wysuwające cały las poplątanych macek. Nie ruszane przez nikogo, pokryły się tak grubą warstwą mułu, że pozostały między nimi wąziutkie prześwity; tylko Szczupaczek mógł się przez nie przecisnąć. Gdzie się zaczynało właściwe dno - tego nie mógł wiedzieć, gdyż woda od ilu zrobiła się bura jak glina. Oddychać tutaj było bardzo trudno, ale za to głucho, ciemno - zupełne i na pewno bezpieczne bezrybie. Toteż Szczupaczek ciężko chwytając wargami wodę przyłgnał do karpy i zanurzył się w muł jak w puchową pierzynę.

Leżał tak bardzo długo, może cały dzień. Dopiero kiedy

46

" ■ '
: "

jego oczy przyzwyczały się do ciemności, dojrzał pod sobą już całkiem na dnie, jakieś ruchy.

Długo się wpatrywał, aż wreszcie rozróżnił zarysy olbrzymiego szczupaczego łba. Ostrożnie zbliżył się do skraju karpy i zobaczył, że tam, w atramentowych ciemnościach, leży szczupak, wielki prawie jak łódź, nie ryba, lecz potwór. Mówiono, że w jeziorze jest szczupak, który ponoć liczy sobie trzysta lat, ale wielu było takich; co nie wierzyli, a w każdym razie nikt go nigdy nie ogląda] i nie wiedział, gdzie żyje.

A więc to jest ten sławetny szczupak! Trudno nawet dojrzeć, jakiego jest koloru, bo tylko pysk wolno wciągający wodę i wskutek tego ruchu nie pokryty mułem był siwy, niemal biały; na pewno ciało także było siwe. Czyżby ten szczupak należał do tej samej rasy, co Szczupaczek, czyżby i on także mógł z czasem stać się takim olbrzymem? Ale przecież bardzo trudno jest przeżyć trzysta lat. Szczupaczek nie ma jeszcze roku, a ile to już razy był w niebezpieczeństwie! Na pewno wielki szczupak nie należy do istot lekkomyślnych i za młodu także się nie interesował pięknymi okazami przyrody, no bo w przeciwnym razie w jaki sposób mógł się uchronić? Ogromnym ryzykiem są te wszystkie figle o wschodzie słońca! Zbędnym ryzykiem!

Szczupaczek myślał, myślał, aż wreszcie zaczął go morzyć sen. Pewnie zapadła noc, ale na takiej głębini nie ma między

48

nocą a dniem najmniejszej różnicy. Zасыpiając rozmyślał o tym, że zostanie tu na zawsze, że przyzwyczaił się do oddychania mułem, sam się nim okryje, tak że nikt go nie zauważy i nie będzie mógł połknąć.

Po paru godzinach poczuł, że niebawem nastąpi świt. Spojrzał w dół. Szczupak leżał jak kłoda, tylko jego olbrzymia paszcza poruszała się ledwie widocznie, przepuszczając wodę.

Szczupaczek przypomniał sobie o swojej decyzji i starał się znowu zasnąć. Ale zaczynało świtać!

Wyczuwał to cienką młodą skórą, czujnymi skrzelami: nawet jego oczom, prawie niczego nie rozróżniającym w mroku, wyraźnie ukazywał się świt. Jeszcze się nie poddawał, całą siłą woli trzymając się na miejscu, ale ogon ledwie widocznie odchylił się w jedną stronę, w drugą, a płetwy drgnęły i zatrzepotały. Wprost dusił się we mgle i namiętnie zapragnął łyku czystej wody.

Przypomniał sobie wodę przeszytą pierwszym promieniem słońca i w wyobraźni ujrzał siebie, jak baraszkuje w tej wodzie... Niech się dzieje co chce! Przeżyje nie trzysta lat, lecz jeden rok, może nawet dzień, może go schwyta okoń z pałającymi płetwami - niech tam! Aby tylko widzieć przezroczystą wodę, błękitne niebo i wspaniały wschód słońca!

Zapominając o swych arcymądrych postanowieniach, Szczupaczek wyrwał ku górze, wznecając kłęby prastarego mułu. Pilno mu było na spotkanie słońca...

[CH DWOJE

Nietknięty niczyją stopą skamieniały śnieg pokrył mostek, płynący pod nim strumyk i ścieżkę.

Wstrząsany dreszczami krzak najeżył się, pałacy wiatr pędził po lśniącej lodzie suche zeszlóroczne liście. Mróz.

Tchórz zaczął się, przypadł do ziemi. Zauważył jamkę przy korzeniu starej wierzby, skąd wylała polne myszy, i wiedział, że już na nie czas, że niebawem się pojawią. Nie jadł już drugą dobę i dlatego polował, chociaż nie odczuwał głodu. Był chory. Wczoraj przespał cały dzień wlaższy do spróchniałego, wypełnionego sosnowymi igłami pnia, a w nocy, spoglądając obojętnie, włóczył się po lesie. Wrócił po własnych śladach do legowiska i przedrzemał tam do świtu. Teraz wyszedł na łów, ale łamało go w całym ciele, tak że chwycił śnieg rozpalonym pyskiem.

Tchórz słyszał, jak głęboko pod zaspą płynie strumień i okropnie zapragnął gorącego lata, kwaśnych leśnych malin i znowu zmorzył go sen.

Otworzył oczy i zobaczył polną mysz, która wysunęła się, rozejrzała i ostrożnie wyszła na śnieg.

Uważając, żeby nie iyyginać grzbietu, tchórz zaczął podkurczać tylne łapy szyku-

51

jąc się do skoku. Czekał, żeby zapach myszy go rozdrażnił, ale kiedy go poczuł, ogarnął go wstręt.

Teraz chętnie zjadłby jagód, nie mięsa. Jednak zmusił się do sprężenia i wygodnie wparł łapy. Czas na skok. Ale tchórz miał dziwny zwyczaj częstego oglądania się za siebie: żył pod stałym

wrażeniem^ że mogą go napaść z tyłu w najnieodpowiedniejszej dla niego chwili i kiedy opędzał się przed jastrzębiem czy przed zgłodniałym lisem, kiedy polował czy odpoczywał, nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś się do niego skrada. Teraz także, nim skoczył, powoli, nie odrywając głowy od śniegu, obrócił szyję i obejrzał się. Za nim rozciągało się puste pole. Wtedy skoczył.

Spadł przy pniu i jego zęby zwarły się akurat nad tym miejscem, gdzie dopiero co siedziała polna mysz, przecież jeszcze tam była, kiedy skakał. Zrozumiał, że chybił. A dawniej nigdy nie chybiał. Wsadził łeb do dołka. Górując nad przykrym, mysim fetorem z dołu dobiegał mocny, natarczywy grzybowy zapach wypoczywającej ziemi, a ślady pozostawione jeszcze latem przez człowieka na zawianej śniegiem ścieżce przypominały ciepłą porę.

Ślizgając się po lodowej szreni, mrużąc oczy i studząc w biegu rozpalony ozór śniegiem, tchórz przelazł przez strumień i wszedł do lasu. Sunął nie ugorem, lecz drogami, pochyliwszy głowę, z wysiłkiem rozpoznając dobrze znane szlaki

52

i długo zatrzymując się na skrzyżowaniach. Zobaczył przed sobą rzekę skutą lodem; tylko pośrodku, bliżej przeciwległego brzegu, widniała czarna plama nie zamrożonej wody. Tchórz

wspiął się na tylne łapy i zamarł obserwując, po czym zszedł na lód.

Tutaj śnieg był udeptany, połyskiwała na nim rybia łuska, a od niedawna zgaszonego ogniska, od węgielków, jeszcze biło ciepło. Znalazł skórkę chleba, obwąchał ją i chwycił w zęby. Trzymając w pysku, obejrzał się na wszelki wypadek i zaczął jeść bez pośpiechu, z rozkoszą. Nigdy dotychczas nie jadł chleba, ale też nigdy jeszcze mięso, żywe i drgające, wywołujące ostry, niepohamowany niepokój, nie sprawiało mu takiej rozkoszy jak spokojny smak chleba. Zjadł, poszukał, czy nie ma więcej, ale nic nie znalazł i ruszył dalej.

Wąska ścieżynka tonęła w śniegu i zewsząd, od dużych, ciężkich śladów, od wydymających się po bokach małych zasp, a nawet z powietrza bił mocny zapach ludzki. Tchórz nie znosił ludzi, ale coraz bardziej uderzał go w nozdrza dym i przyciągało ciepło, toteż nie szedł już, lecz biegł susami. Las rozstał się i tchórz skręcił do zagajnika. Przed nim leżała polana. Nad niewielką jakby uśpioną chatą ze starannie ułożonym sagem drew przy ganku, kojąco unosił się dym z komina. Tchórz przebiegł przez otwartą przestrzeń i stopień po

53

stopniu wlaź na ganek. Drzwi były uchylone, ale nie wszedł nimi, lecz wczołgał się przez szparę pod drzwiami i znalazł się w ciemnej, zimnej sionce. Drugie drzwi były szczelnie zamknięte, ale właśnie stamtąd kusilo upragnione ciepło, toteż zwierzę długo szukało wejścia; wreszcie znalazło je u góry, pod sufitem, wdrapało się tam, łebkiem wypchnęło wojłok i na miękkich-łapach zeskoczyło do pokoju. Gdy tylko oprzytomniało, napotkało wzrok człowieka.

Tym człowiekiem był starzec z fajką w ustach, siedzący przy zbitym z desek stole, zawalonym zapisanym papierem. Posłyszawszy szmer, obejrzał się, a tchórz zamarł na rozstawionych łapach, jeszcze wygięty po skoku, i obaj patrzyli na siebie bez ruchu. Piec z otwartymi drzwiczkami był rozpalony do czerwoności, drobne węgielki sypały się przez ruszt i dogasały w głębi otworu, a z gotującego się kociołka buchała para.

- Patrzcie no, kto tu raczył przyjść - przemówił starzec ze zdziwieniem.

Wstał ogromny, o potężnych barach, a zwierzak wlaź pod ławkę, przytulił się do ściany i wyszczerzył zęby. Ale duże dłonie przysunęły się do niego przyjaźnie i bez strachu, więc dał się im wziąć. Stary wyciągnął spodek, nalał trochę mleka i podsunął tchórzowi, siedzącemu u niego na ręku jak kot. III

Tchórz zaczął chłeptać z przerwami, wzdychając ze zmęczenia; III*

III

raz jeden uniósł wzrok i ostro spojrzał człowiekowi proste w oczy.

- No no - przemówił człowiek i tchórz znów wsadził mordkę w spodek.

Jak gdyby wszystko o nim wiedząc, stary ułamał kawałek chleba. Ale tchórz nie mógł więcej jeść. Tylko łapkami zgarnął chleb pod siebie i zamknął oczy. Stary usiadł przy stole: przysunął papier i wziął się do pisania. Pracując spogląda! na tchórza śpiącego u niego na kolanach, kręcił od czasu do czasu głową i wyobrażał sobie straszne warunki życia, które zapędziły zwierzę do ludzkiego domostwa.

Tchórz spędził w chacie cztery dni. Gdy chciał jeść, nie musiał szukać ani tropić, a chcąc odpocząć, nie musiał się chować. Dotychczas nigdy nikomu nie dowierzał, zawsze bał się i nienawidził. Nie lubił nawet swoich. Gdy bił się o samiczkę, swoi byli śmiertelnymi wrogami; tak, bronił małych, gdy im groziło niebezpieczeństwo, ale skoro tylko pod-rastały, natychmiast odchodził i zapominał o nich. Zawsze otaczali go wrogowie lub zdobywczy. Teraz żył oszołomiony; rozdelikacyony, sam siebie nie rozumiejąc, a kiedy człowiek brał go swoimi ciepłymi rękami, wyłaził z tych dłoni, spacerował po piersi i po ramionach, obwąchiwał staremu wargi i wąsy, a ten gładząc zwierzaka mówił doń po cichu:

- Ależ masz kozuch, bracie! Ależ futro!

56

Na piąty dzień rano gospodarz zauważył, że tchórz, przycupnąwszy na okiennym parapecie, spogląda w las. W lesie padał śnieg, drzewa pociemniały i jakby się zsunęły, a świerk, do tej pory skutym mrozem, swobodnie rozłożył odtajające gałęzie.

Za oknem przeleciał ptak, tchórz rzucił się i zamarł. W napiętym wygięciu jego długiej smukłej szyi i w obrocie małego łebka stary dojrzał wyraz drapieźności, jakiego dotychczas nie widział. Zapamiętał jeszcze coś: sposób, w jaki tchórz się obejrzał. Odwrócił głowę z nerwową, napiętą powolnością i zlustrował pokój z ponurym strachem zaszczutego zwierzęcia. A kiedy człowiek skierował ku niemu krok, tchórz skoczył gwałtownie na tylne łapy i pisnął ostrzegawczo, gotów rzucić się na niego.

Wówczas stary uchylił drzwi i wrócił do stołu. Siedział ssąc fajeczkę i ponuro obserwował tchórza. Od drzwi buchnęły kłęby zimnej pary, dotarły do ściany, podniosły się ku oknu i tchórz wciągnął w siebie głęboko zapach lasu, po czym bezgłośnie zeskoczył na podłogę. Przeciął pokój skradającym się krokiem, jak gdyby kogoś tropił. W progu stanął i przez ramię spojrzał na gospodarza. Obco, podejrzliwie wpiły się w człowieka zimne źrenice. Przywierając do desek, tchórz wypełzł za próg, rozpląszczył się pod drzwiami i zniknął.

Stary wyszedł na ganek. Ściskając w zębach wygasłą fajkę,

57

patrzył, jak jego gość się oddala. Mokry śnieg zalepiał mały, ciemny ślad. Na skraju polany tchórz lekkim susem przesadził zaspę, a potem zlał się z krzakami, z których z trwożnym piskiem poderwały się ptaki.

Stary wrócił do pokoju, usiadł przy piecu i długo, bez ruchu, wpatrywał się w ogień, słuchając, jak dookoła domu huczy las.

SMUTNE OPOWIADANIE

Jestem wiewiórką. Z lasu do miasta przywieziono mnie nie tak dawno, ale już poznałam tu wszystko, do wszystkiego się przyzwyczaiłam i czuję się wspaniale. Tylko w klatce mi się nieraz przykrzy. Zgadzam się nawet mieszkać w klatce, bo wygodnie mi tam spać: mam gniazdo z leśnego mchu, a w rozmaitych kącikach na wszelki wypadek poutykałam różne smakołyki. Prawda, że zawsze zapominam, gdzie co schowałam, ale to nie ma znaczenia. Wolę, jak drzwiczek nie zamykają i mogę pobiegać po pokoju. Ale nawet jak zamykają, nic straszego! I tak prędko otworzą, bo ONI nudzą się beze mnie.

A ja nie nudzę się nigdy. Jest mi cudownie. Gdybym umiała śpiewać jak ptaki w naszym lesie, śpiewałabym po całych dniach. Znam doskonale ptasie melodie. Mówią, że wiewiórki są zapobiegliwe. Może tak jest w lesie, ale nigdy w mieście. Tutaj nie mam żadnych kłopotów na głowie.

ONI lubią się ze mną bawić. Na przykład dają mi włoski orzech. Czym jest w porównaniu z włoskim orzechem wszelki leśny drobiazg - pestki z szyszek świerkowych czy zwykły orzech laskowy! Orzechem włoskim można się najeść jak należy. Via on co prawda grubą skorupę i wywiercenie w niej dziury -

59

to długa historia. Podstawiają mi dłonie, ja w nich siadam i zaczynam gryźć orzech. A wtedy, przytrzymując za nogi⁵ zaczynają pochylać mnie coraz to niżej, aż wreszcie tak obracają, że zwisam głową w dół, ale nie przestaję gryźć orzecha. ONI myślą, że jestem tak tym pochłonięta, że nie zauważam niczego i pękają ze śmiechu. Niech się śmieją! Ja także śmieję się w duchu. Lubię, jak jest wesoło. Im jest wesoło - i mnie także. Jak mi dobrze!

Kiedy bawię się sama, lubią mi się przyglądać. W pokoju stoi stary parawan obciągnięty tkaniną zieloną jak liście w lesie. Tej tkaniny można się bardzo wygodnie czepiać. Więc rozpędzam się, skaczę do góry i zaczynam wbiegać po parawanie bokiem. Właśnie bokiem - w prawo, w lewo, w prawo, w lewo. Najciekawiej bywa wtedy, kiedy parawan jest złożony i staje się podobny do pnia drzewa. Wówczas otaczam go spiralą z dołu do góry i z góry na dół. ONI się dziwią, dlaczego biegam po parawanie bokiem. Nie wiedzą, że w ten sposób jak gdybym uciekała od mojego leśnego wroga - od sowy. Gdybym biegli po drzewie prosto do góry, sowa by mnie złapała. A jak spiralą - niech spróbuje mnie dopędzić na swoich niezgrabnych skrzydłach. Ona ciągle krąży, a ja tymczasem jestem na górze w gęstym listowiu i - hop! - już mnie na tym drzewie nie ma a sowa

traci mnie z oczu. O ileż lepiej jest w pokoju niż w lesie! Tutaj nie ma sowy i nie trzeba się nikogo bać.

60

ONI nie pozwalają mi ogryzać książek. Ledwie wskoczę na szafę i zabieram się do grzbietu książki, a już z dołu rozlega się krzyk: „Ty, paskudna, nie waż się!” Nie zwracam na to uwagi. Wtedy zaczynają stukać w szafę. Więc przestaję gryźć i wyglądam, o co im właściwie chodzi. No i przypominam sobie: ach tak, nie wolno ogryzać książek. Ale jestem okropna zapominalska i znowu je ogryzam, więc ONI znowu krzyczą i stukają. Wtedy schodzę na półkę i włożę tam, gdzie za książkami mnie nie widać. Tutaj jest pełno kurzu, więc kicham, ale za to ONI się uspokajają i nikt mi już nie przeszkadza. Gdyby wiedzieli, że z wielu książek zostały same grzbiety! Papierowe trocinki są tak miękkie, że miło na nich położyć, czy nawet się zdrzemnąć. To wielka przyjemność spać, kiedy się wie, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo!

Tutaj nawet zwierzęta dobrze mnie traktują. Pewnego razu spacerowałam po pokoju. Nie byłam w nastroju do ogryzania książek i pewno ONI to zauważyli, bo zostawili mnie samą. Zachciało mi się pofruwać. Umieć wspaniale fruwać. W powietrzu utrzymuje mnie mój puszysty ogon. Przefrunąć przez cały pokój z szafy na parawan to sama rozkosz. Więc odepchnęłam się łapkami od szafy, pofrunęłam i uczepliłam się parawanu. Pomknęłam do góry, odepchnęłam się, pofrunęłam, wylądowałam na stole i nawet przejechałam się po nim z rozpędu. Coś spadło na podłogę i stłukło się; długo

61

patrzyłam, ale nie zrozumiałam, co to właściwie było. Zresztą, czy to nie wszystko jedno? Jak mi dobrze! Nad podziw dobrze! Lepiej niż komukolwiek na świecie!

Potem puściłam parę kropelek na stół. ONI nie pozwalają

mi robić siusiu na stół, ale może mam wybierać, na co siusiam? Gdzie siedzę, tam puszczam kropelki. Miałam już zamiar przefrunąć na fotel, aż tu nagle patrzę, spod fotela ktoś wychodzi. Jakaś istota bardzo do mnie podobna, ale z ostrym nosem. Takiego samego wzrostu jak ja, tylko nie ruda, lecz szara. A ogon ma - i to mnie wprawiło w wielkie zdumienie - goły jak witka.

Przefrunęłam na fotel, a ta osoba się zlekła i dała nura pod fotel. Po chwili wysunęła się, ja zaś głową w dół zeszałam po fotelu i obwąchałyśmy się. Dziwne! U nas w lesie krety, jeże, każdy, nawet sowy mają swój własny zapach. A od tej osoby zalatywało jakby starą poduchą z kanapy. Ale i tak mi się podobała, potraktowała mnie przyjaźnie. Jak tu się spokojnie żyje!

Potem wydarzyła się ta historia... Wypuszczono mnie z klatki. Przebiegłam przez pokój i patrzę - otwarte drzwi na korytarz. Wyjrzałam. Ciemno i pusto. Wyszałam. W końcu korytarza stały otworem jeszcze jakieś drzwi. Dobiegłam do nich. Dalej na dół wiodły już duże kamienne stopnie.

Zeskoczyłam z jednego, z drugiego, z trzeciego... Na samym dole były jeszcze jedne drzwi, a za nimi - ulica, ta sama, którą widziałam przez okno. Za ulicą zapewne zaczyna się las!

Nie pamiętam, jak się znalazłam na jezdni. Oszołomił mnie hałas, wycie, dzwonki; samochody pędziły prosto na mnie, więc miotałam się we wszystkie strony. Ogarnęło mnie

63

przerażenie i nagle olśniła mnie myśl, że jeżeli pobiegnę wzdłuż ulicy, to trafię do lasu. Chcę do lasu! Chcę wskoczyć na prawdziwy pień, a nie na parawan i skryć się w prawdziwym listowiu! Skakałam po białym pasku znajdującym się na samym śró-deczku jezdni. Na chodnikach, po obu stronach, coś tam ludzie krzyczeli, śmiali się i wskazywali mnie palcami, ja zaś pędziłam co tchu prosto, prościutko i nigdzie nie skręcając.

Na placu biały pasek zginął. Wskoczyłam na środek i obejrzałam się. Odchodziło stąd wiele ulic, a ja nie mogłam się zorientować, która wiedzie do lasu. Rzuciłam się więc na oślep, ale z przeciwnego kierunku runęła na mnie, wypuszczając duszący dym, cała lawina czarnych kół.

Dałam susa w stronę chodnika. Stał tutaj samochód, więc schowałam się pod nim. W jednej chwili dziesiątki nóg otoczyły samochód. Zza któregośkolwiek koła wyjrzałam, wszędzie stały nogi, słyszałam głosy i śmiech. Z czego tak się śmiali? Nie mogę zupełnie zrozumieć. Potem wyciągnęły się do mnie ręce, jedna mnie schwyciła, ugryzłam ją ze wszystkich sił, ale mnie nie puściła.

Teraz znowu jestem w domu. Chociaż to inny dom i nie ma tutaj parawanu, ale co za różnica?

Znowu odpoczywam na półce z książkami po tamtej stronie, gdzie jest miękko od papierowych strzępków. Jeżeli w pokoju nikogo nie ma, spod

64

fotela wynurza się moja znajoma, nie tamta, lecz nowa, z takim samym łysym ogonem. Odwiedza mnie w klatce i zabiera mój cukier. Niech zabiera, wcale mi nie żal. Już nic więcej nie chowam. Jestem bardzo zadowolona, że wtedy nie dobiegłam do lasu. Tak mi tutaj dobrze! Nielicznym przypada taki szczęśliwy los w udziale. Tak, jest mi cudownie. Tak, jest mi... Niech już tak będzie, jest mi najlepiej ze wszystkich na świecie...

KNOT

W ciemnej podmurówce chaty kotka wydała na świat kocięta. Wyłaziły przez otwory, bawiły się w słońcu, jednakże ludzie mogli się im przypatrywać tylko z daleka. Najłżejszy szmer - i cała trójka chowała się w swoim legowisku.

Na zimę gospodarz zabijał otwory w podmurówce, żeby od deszczów i śniegu do domu nie zakradła się wilgoć. Była już jesień, córka gospodarzy wraz z dziećmi wybierała się do domu, gdyż mieszkała w mieście. Przed wyjazdem próbowali wyłowić kocięta, ale bez skutku. Więc miejska rodzina odjechała zabierając ze sobą kotkę, pewna, że bez matki kocięta same wyjdą z kryjówki. Ale te, osierocone, stały się jeszcze ostrożniejsze. Staruszkowie gospodarze nie dawali im jeść, lecz ten i ów sąsiad stawiał im trochę mleka w puszcze po konserwach. Ludzie widzieli, jak kocięta wychodzą rozglądając się na wszystkie strony, jak wachają blaszanek, po czym chłepcą czujnie, gotowe zniknąć w jednej chwili.

Deszcze zaczęły padać coraz częściej, trzeba było kończyć przygotowania do zimy, ale jednego otworu pod chatą wciąż nie można było uszczelnić. Wszczęto obławę na kocięta.

66

Wabiono je na zewnątrz, stawiano jedzenie, pilnowano otworu. Gospodarze marzli, klęli, sarkali na bezmyślne zwierzaki i kontynuowali polowanie, aż wreszcie udało się schwytać dwa kotki. Został ostatni, najdzikszy. Dotychczas nikt nie słyszał jego głosu, ale teraz kot zaczął się wydzierać. Przez całą dobę, z małymi przerwami, rozlegało się spod chaty przeraźliwe miauczenie. Niekiedy kot wysadzał łeb i wtedy jego głos słyszała cała ulica.

Nie tylko dzieci, ale także dorośli, zapracowani ludzie zaczęli o nim mówić. Dokuczał wszystkim swoimi wrzaskami, a nie sposób było go wyciągnąć lub zmusić do milczenia. Zamurować żywą istotę - nie, nikt nie chciał do tego przyłożyć ręki. Wielu nawet uważało, że nic nie należy robić. Kociak jest zauroczony, żadna siła nie przyciąga go do ludzi, natomiast zimno i samotność szybko go wykończą.

Mieszkałam wówczas po sąsiedzku. Jeżeli mi się udawało zimą wyrwać z miasta, żeby popracować w spokoju, jechałam do Listwianki i zatrzymywałam się u Szłykówów. Mieli wolny pokój, „paradny”, stojący zazwyczaj pusto. Grzmiał w nim głośnik, ale jeśli się wyłączyło radio, pokój świetnie nadawał się do pracy. Świetnie, póki nie pojawił się ten zwariowany kot. Okna pokoju wychodziły na tę stronę chaty, pod którą on mieszkał.

67

Obeszłam sąsiadów i poprosiłam, żeby od następnego dnia nikt nie przynosił jedzenia. Kociak przez cały dzień wydzierał się, aż zachrypł, ale wszyscy dotrzymali umowy. Jednak wieczorem, kiedy wracałam z kina, wypadła z furtki prosto na mnie zgarbiona postać staruszki. Poznałam w niej tutejszą babinę.

- Po co tam pani chodziła? - zapytałam, dojrzawszy w jej ręce pusty słoik.

- Przecież chce zjeść - wyjaśniła z zażenowaniem staruszka.

Musiałam zaczynać od początku. Następnego dnia kociak zamilkł. Właśnie zamiast deszczu zaczął padać gęsty śnieg. Potem ani deszczu, ani śniegu - spokój.

Zastanawiałam się, ile też dni kociak może obejść się bez jedzenia, nasłuchiwałam. Wyznaczyłam sobie termin polowania na jutro, ale kot milczał, a przez radio zapowiedzieli, że nazajutrz temperatura spadnie do minus pięciu stopni.

Wreszcie nie wytrzymałam. Pokroiłam drobno surowe mięso, ubrałam się, opatuliłam w chustę. Zimny pył - ni to deszczyk, ni to drobny grad - zacinał mrozem w twarz. Włożyłam głęboko do

dziury odrobinę mięsa-akurat żeby wystarczyło na zabrudzenie wąsów. Tyle same przylepiłam do brzegu otworu, przy samym wyjściu. Większe kawałki rzuciłam na ziemię. Podsunęłam przygotowaną cegłę.

68

żeby zatkać otwór, i zamarłam na swoim posterunku.

Najmniejszy dźwięk nie dobiegał spod chaty, ale ja czu-am, że kociak jest w pobliżu. Nie w dalszych partiach podmurówki, lecz tuż obok. Już mi zdrętwiały z zimna ręce, bo nie pomyślałam, żeby je schować do kieszeni, już zimno zaczęło przenikać przez podeszwy gumowych buciorów. Kociak był tuż, żywy, czatujący, czułam go przecież, ale sytuacja nie ulegała zmianie.

Wreszcie coś nieuchwytnie poruszyło się przy moich nocach i nagle rozległo się histeryczne miauczenie. Zapewne kociak już zlizął mięso, które leżało wewnątrz, i dostrzegł to, że było na ziemi. Ale poczuł także człowieka. Słyszał było, kociak odskakiwał dalej i z miauczeniem szukał pod domem. Ale zapach, od którego kociak oszalał, pochodził z jednego miejsca, więc zwierzak wciąż powracał do otworu. Wiedziałam, że zbliża się oczekiwana chwila i w myśli po raz nie wiadomo który ćwiczyłam ten ruch: pochylenie, schwytywanie cegły i wepchnięcie jej do dziury. A kociak nadal się wydierał i jego łebek to wysuwał się z otworu, to chował jak na sprężynie.

Aż wreszcie wyskoczył, po czym rzucił się z powrotem, ale ja zdążyłam zastawić otwór. Dał susa i zniknął. Pobieglam skradając się, spoglądałam za róg. Kociak siedział tam wtulony w ścianę. Ruchoma, niewyraźna plamka. Skoczyłam ku niemu, ale umknął za dom. Ja za nim. Tak biegiem okrążyliśmy chał-

69

#*i"i

pę może dwadzieścia, może trzydzieści razy.

Wreszcie kociak wpadł na ganek. Rozłożywszy ręce zbliżyłam się, dziko zjeżony kłębuszek był tuż-tuż. Padłam na niego, zasyczał mi w samą twarz i wsiąknął w ciemność.

Musiałam opanować drżenie rąk, zatrzymać się i zastanowić. Jak by go tu odpędzić od domu, na akację, która rośnie pod oknem? Latem kocięta niekiedy wchodziły na ten krzak, on go na pewno zna. Więc go odpędziłam. Ale jak to zrobiłam, jakie stosowałam sposoby - tego nie mogłam sobie potem ani rusz przypomnieć. Zapamiętałam tylko, że pod koniec kociak wdrapał się na grubą gałąź, ja zaś podeszłam wolno, zdjęłam go stamtąd i nagle miałam w rękach nie kota, lecz jakąś mysz, tak drobny jakazał się bohater, który zakłócił spokój całej ulicy.

Szłykowie pozywali się z łóżek, jak gdyby zdarzył się poważny wypadek. Kociak, szary w ciemne pręgi, nie drgał, nie wyrywał się, po prostu skamieniał w mojej dłoni. Łapki przytulił do białego brzuszka, granatowe ślepka nie mrugały. Leżał na plecach. Ktoś go dotknął palcem - zwałił się na bok jak nieżywy. Chcieliśmy odgiąć łapki - nie poddawały się. Stary Szłykow odkroił kawałek mięsa, podsunął je pod koci nos - bez wrażenia.

- Zdechnie knot - odrzekł.

Z litości zaczęli głaskać kociaka. Ten nagle rozprostował

71

się i wstał. Kiedy głaskano go po lewym boku, wypręzał się w lewo, kiedy po prawym - w prawo.

Wyginał grzbiet, ledwo mógł ustać pod dotykiem rąk na swoich niezbyt mocnych łapach i mruczał głośno, zapamiętał, wprost bulgotało w nim z przyświstem jak w gotującym się samowarze.

Okropnie szybko zbudziło się w zwierzaku odwieczne przywiązanie do człowieka!

Postawiłam go na podłodze, podsunęłam mleko, wszyscy odstąpili - a wtedy jak gdyby ktoś odmienił kociaka. Rozejrzę się dookoła zaszczutym wzrokiem, uciekł, wlaź pod kanapę tak głęboko, żeśmy go ledwo odnaleźli i z trudem oderwali bo czepiał się sprężyn i parskął. Ale kiedy go posadziłam w

kolanach i pogłaskałam - wstał, położył się, znowu wstał. Przewracał się z boku na bok i na grzbiet, lizął głaszczącą rękę, oblizywał swoje łapki i futerko - i mruczał, mruczał.

Wyrósł na wesołego kota z okrągłą mordką, z grubym i krótkim, niewiele dłuższym od rysiego ogonem. Kiedy ktoś chodzi po pokoju, kot chowa się za krzesła i pilnuje, potem napada z nienacka. Lubi figlować, ale żarty z nim są niebezpieczne, bo głęboko wbija pazurki. Gdy go się wypędza na

dwór, odchodzi daleko w las i ginie na kilka dni. Kiedyś widziano, jak schwytał wiewiórkę. Nie każdy pies potrafi go zmusić do ucieczki; psy sąsiedzkie już go znają i unikają, obcym nieraz się od niego dostaje. Ma gęste futerko i nie boi się mrozów.

WSPANIAŁY ZWIERZ

Pociąg jechał już pięć dni, ale nikomu się ta podróż nie sprzykrzyła. Nudno było przez pierwsze dwie doby, lecz potem wszyscy się przyzwyczaili i polubili to życie, wolne od domowych kłopotów, pełne wrażeń i przypadkowych, nie obowiązujących znajomości, które kończą się wraz z podróżą.

Na dworze była jesień. W tym roku tak się rozswawoliła, takimi triumfującymi dojrzałymi i rumianymi barwami zalalała tajgę, jak gdyby oczekiwała nie mrozu, lecz rozkwitła dla jakiegoś niezwyklego, szczodrobliwego tropikalnego lata.

- Popatrzcie tylko - mówili ludzie w wagonach - aż płonie! Widzieliście coś takiego? A tu? Czyżby to była osika? Patrzcie, widzicie tamten krzak? O Boże, cóż to takiego?

Gdyby za oknami była zima czy wiosna z jej rozlewiskami, w których toną i wioski, i gołe, ledwie budzące się do życia, lasy, a nawet gdyby lato, wspaniałe, lecz jednostajnie zielone, pyszniło się po obu stronach pociągu, pasażerowie nie tłoczyliby się od rana do wieczora przy oknach, nie byłoby tylu rozmów, uśmiechów, ani tego bezwiednie radosnego uczucia, które pamięta się mocniej od każdej przygody, bo zapada ono w duszę na całe życie.

Ale szóstego dnia rano rozpoczęły się także przygody.

Ledwie pociąg zaczął hamować przy stacji Wiereszczagino, pasażerowie zauważyli na peronie staruszka ze strzelbą na ramieniu, trzymającego na sznurku niedźwiedziątka. Wagony stanęły i ze wszystkich stron do starego zaczęli zbiegać się ludzie. Otoczono niedźwiadka. Pasażerowie kucali przy nim, głaskali go, brali na ręce, karmili cukierkami, a ci, którzy nie mieli przy sobie łakoci, rzucali się do stacyjnego bufetu i z cukierkami lub kawałkami cukru pędzili z powrotem.

Niedźwiadek miał łeb z wypukłym czołem, tułów z kusym zadkiem; głowa wydawała się większa od tułowia i brakowało pomiędzy nimi szyi. Oczy zaś patrzyły jak u pluszowego misia, z bezmyślnym ożywieniem. Łapał mlaskając cukierki, ssał je, gubił, zaaferowany szukał na ziemi albo wtykając mokry nos w rękę, prosił o jeszcze. Staruszek, chudy, z ciemną wygarbowaną twarzą, pociągał cuchnącego, własnoręcznie skreconego papierosa i obojętnie spoglądał na krzątanie u swoich stóp. Dopiero kiedy do odejścia pociągu pozostało już tylko pięć minut, oznajmił, że niedźwiadek jest na sprzedaż.

Wśród pasażerów zapanowało podniecenie. Każdy chciał mieć żywą zabawkę, ale gdzie ją trzymać? Ani się człowiek obejrzy, jak zwierzak wyrośnie, a wtedy co z nim zrobić? Oddać do Zoo? Tam przecież mogą nie przyjąć, mając dość własnych niedźwiedzi. Więc jak? Po prostu odjechać z niczym?

75

Tymczasem rozległ się pierwszy dzwonek, potem drugi, zaraz miał nastąpić trzeci; dyżurny ruchu w czerwonej czapce zjawił się już na peronie...

W ostatniej chwili, kiedy pasażerowie zaczęli rozbiegać się do wagonów, radiotelegrafista pociągu wetknął staremu do ręki pieniądze i powiedział tym, którzy stali jeszcze niezdecydowani :

- Tylko ani słowa! Żeby kierownik się nie dowiedział.

Chowając niedźwiadka za pazuchę, pobiegł nie do czwartego wagonu, gdzie znajdował się przedział z radiowężłem, lecz do najbliższego, wskoczył do środka, zeskoczył po drugiej stronie pociągu i dopiero teraz poszedł do siebie.

Nikt nie rozumiał, dlaczego trzeba milczeć. W wagonach często pasażerowie wożą psy, a przecież taki mały niedźwiadek wcale nie jest niebezpieczniejszy od psa, nawet jeśli z natury należy do dzikich zwierząt.

Wesoła nowinka lotem błyskawicy obiegła cały pociąg. Wypadło to bardzo na czasie, akurat trafiło w nastrój. Więc taka jest ta piękna tajga! Jakim pięknym podarunkiem uradowała podróżnych!

Teraz, kiedy w przedziałach, w korytarzach i wagonach restauracyjnych ludzie wyglądali przez okno, najczęściej rozprawiali o niedźwiedziach. Nie wiadomo dlaczego, mieli ochotę mówić o nich jak najprzychylniej, opowiadali, jakie są dobroduszne, wesołe i mądre. Kiedy spotyka się niedź-

wiedzia w lesie, natychmiast odchodzi na bok i tylko ranny potrafi zaatakować człowieka; w ogrodach zoologicznych nie ma zabawniejszego zwierzęcia. Co starsi pasażerowie wspominali, jak to dawniej, na drogach spotykało się Cyganów z niedźwiedziami, które tańczyły pod dźwięk bębena, kłaniały się i z czapką w łapie obchodziły publiczność.

W wagonie restauracyjnym, przy jednym ze stolików, gdzie także rozmawiano o niedźwiedziach, siedział pewien lotnik, jadący na urlop z Sachalinu. Kiedy usłyszał o niedźwiadku, zaczął się nagle spieszyć, zawołał kelnerkę, zapłacił i nie dokończywszy śniadania - wyszedł.

Minął kilka wagonów i zastukał do radiotelegrafisty. Ten akurat majstrował coś przy odbiorniku, a niedźwiadek siedział nad drzwiami, na bagażowej półce, i smętnie spoglądał w dół.

Lotnik zdjął niedźwiadka, siadł z nim na ławce.

- Ach, toś ty taki... - mruknął do niego. - Buras...

I zaczął głaskać go tak mocno, że niedźwiadek co i rusz przysiadł na tylne łapy.

- O-o-o! - przemawiał do niego. - Bury! Zuch! Wspaniały zwierz! Wspaniały zwierz z ciebie!

Później zapytał radiotelegrafisty:

- Po co pan go kupił? Tamten odpowiedział:

77

- Mam bratanka, niech się pobawi.

- Ile bratanek ma lat?

- Cztery.

Lotnik powiedział stanowczym tonem:

- Wie pan co? Późną jesienią będę wracał na Sachalin. Niech zwierzak pobędzie u pana, a potem mi go pan odstąpi.

- Po co on panu?

Wtedy lotnik opowiedział zadziwiające rzeczy. Okazało się, że na Sachalinie ten i ów trzyma oswojonego niedźwiedzia, bo ponoć chadzą z nimi na polowanie. Niedźwiedź rzuca się na żywą zdobycz tylko w obronie własnej, albo kiedy zgłodnieje, najczęściej wiosną. Duże drapieżniki unikają go, bo jest silny i jak weźmie się niedźwiedzia ze sobą na polowanie, to szukając jego opieki - mówił lotnik - często wychodzą z lasu reny i dzikie kozy. Lotnikowi niedawno uciekła niedźwiedzica Maszka, a zdobycie w tajdze małego niedźwiadka wcale nie jest takie proste.

- Świetna rasa, bury - kontynuował lotnik, głaszcząc i poklepując niedźwiadka. - Bure niedźwiedzie są u nas największe. Będzie z niego zwierz na schwał. Wtedy panu się nie przyda, a mnie będzie naprawdę potrzebny. No to jak? Zrobione?

- Chyba tak — mruknął telegrafista.

- Nie chyba. Musimy się dogadać na pewniaka.

78

Radiotelegrafista uśmiechnął się:

- Dobra, niech będzie na pewniaka.

W tej samej chwili mocna, gospodarska ręka z hałasem odsunęła drzwi i do przedziału wszedł kierownik pociągu, młody mężczyzna z rumianą pucołowatą twarzą, w czapce zsuniętej na tył głowy. Ta dziewczęca twarz miała wyraz stanowczości, a zsunięta czapka przypominała każdemu, że kierownik jest bardzo zajęty i nie ma czasu na długie rozmowy.

- Aha, więc to prawda - odezwał się ledwo rzuciwszy okiem na niedźwiadka i wbijając wzrok w radiotelegrafistę. - A więc meldunek odpowiada prawdzie: pan kupił niedźwiedzia. Jak go pan teraz przewiezie?

- Że co? - zapytał stropiony radiotelegrafista.

- Nie wie pan, że przewożenie dzikich zwierząt jest wzbronione?

Radiotelegrafista nic nie odpowiedział. Jego dobrotliwa twarz cała w piegach, z białymi rzęsami, przybrała wyraz zakłopotania.

- Przepraszam, panie Kierowniku - wtrącił się lotnik - ale niedźwiedź jest mój. Może pan mieć pretensję do mnie.

- Zwierzę znajduje się w radiowęźle, więc wnoszę pretensję do radiotelegrafisty.

- Po co takie formalności? - jak można najłagodniej zapytał lotnik. - Ja go natychmiast zabiorę. ,
80

- Do pana będę miał tym większą pretensję, obywatelu podróżny.

- A gdyby inni pasażerowie nie mieli nic przeciwko temu?

- Kto jest tutaj kierownikiem? Ja czy pan? Mam prawo wyrzucić zwierzę z pociągu w każdej chwili i wyrzucę, jeżeli pan tylko spróbuje wziąć je do przedziału.

- Ach, to pan tak! - powiedział lotnik podchodząc blisko do kierownika, a twarz mu pobladła.

- Właśnie że tak - patrząc prosto w oczy odpowiedział mu kierownik. - Co robić? Jesteśmy formalistami. - Odszedł kroczykiem w bok, a potem trzymając się z dala od lotnika, wyszedł.

- Żeby więcej zwierzęcia nie widział na oczy, zrozumiał pan? - rzucił pod adresem radiotelegrafisty z korytarza i zatrzasnął drzwi.

Lotnik usiadł na ławce. Niedźwiadek dotknął mordą jego ręki; ten milcząco potarł go za ucho i podstawił dłoń. Zwierzak mlaskając zaczął ją lizać. Radiotelegrafista, z twarzą w wybiegach, pochylił się nad radioodbiornikiem, kręcił gałki, wpatrywał się w strzałkę skali i także milczał.

- Czego się pan boi? - zagadnął lotnik.

- Z nim lepiej nie zaczynać — odparł radiotelegrafista.

- Więc jak przewieźć niedźwiedzia? - zapytał po chwili ciszy lotnik.

81

- Nie wiem... Najlepiej byłoby w bagażowym.

- No to wykupię bilet.

- Cała bieda w tym, że bilety nie wszędzie sprzedają, no i zdaje się potrzebna jest klatka...

- Do diabła! - mruknął lotnik i się skrzywił. Tymczasem pociąg mknął skrajem urwiska. Za oknami

przesuwały się pędem świerki, osobliwe północne świerki, kościste, wysokie, z mocnymi gałęziami wyrastającymi daleko jedna od drugiej. Zbiegały w dół, tu i ówdzie prześwitywała pomiędzy nimi ziemia, żółta od jesienno listowia, potem znów ziemia schodziła głębiej i nic nie można było rozróżnić. Och, jak ciemno, strasznie, jaka mgła kłębi się tam w dole! Wystarczy spojrzeć - a mimo woli przechodzą po plecach ciarki, serce zamiera i ponure piękno tego obrazu na długo zapada w duszę.

Ale lotnik, który przez cały tydzień nie odchodził od okien, nie chciał już nic oglądać. Leżał w przedziale, palił i trzymał przed oczami jakąś książkę.

Niebawem cały pociąg wiedział, co zaszło w czwartym wagonie. Historia wydawała się zabawna, omawiając ją niektórzy uśmiechali się, ale nikt się już nie cieszył, że w pociągu jedzie niedźwiadek. Dawniej radiotelegrafista chodził po wagonach, gościnnie wypytywał, jakie nastawić płyty, no i do niego, do radiowęzła, chętnie wpadali podróżni posiedzieć

82

i posłuchać muzyki. Dzisiaj jednak pokazał się tylko po to, żeby sprawdzić głośnik, a minę miał taką zafrasowaną, że o nic go już nie pytano. W dodatku śpieszył się bardzo, bo wystarczyło, żeby wyszedł na chwilę, a już niedźwiadek, jeżeli nie spał, zaczynał skomleć, gdyż nie znosił samotności. Skomlenie przechodziło w wycie i radiotelegrafista bał się, że kierownik pociągu je usłyszy.

Na którejś stacji pasażerowie zobaczyli, że kierownik pociągu podeszedł do okna radiowęzła.

Konduktorka miała już biec po radiotelegrafistę, ale się spóźniła.

- Gdzie radiotelegrafista? - krzyknął do niej kierownik. - Natychmiast proszę mi go znaleźć!

Wystraszona konduktorka pobiegła, on zaś dodał jeszcze:

- Szybko! Na jednej nodze!

Podeszło do niego paru pasażerów. Przez górną, nie zasuniętą część okna można było dojrzeć, jak niedźwiadek drepcze na skraju półki bagażowej, przymierzając się, ale nie mając odwagi zeskoczyć; w dodatku wył bez przerwy. Kierownik stał z kamienną twarzą i czekał. Zjawił się zdyszany radiotelegrafista.

- To dla pana mój rozkaz jest niczym? - zapytał go kierownik. - Żeby do następnej stacji zwierzęcia nie było w pociągu, bo inaczej, uprzedzam: jak tylko przyjedziemy, napiszę raport.

- Na jaki temat? - ponuro zapytał radiotelegrafista.

- Dowie się pan, na jaki temat. Kupno, sprzedaż, różne machinacje... Co pan sobie myśli? Że ja pracuję pierwszy rok?

Kierownik już zamierzał odwrócić się i odejść, kiedy jego oczy napotkały wzrok stojącego obok lotnika. Tym, którzy dostrzegli, jak dwaj mężczyźni na siebie popatrzyli, zrobiło się nieswojo. A w dziesięć minut później nie było w całym pociągu człowieka, który by nadal uważał, że ta historia jest zabawna.

Przejazd do stacji Balezino trwa krótko, zaledwie czterdzieści minut, toteż wszyscy w pociągu byli zdenerwowani. Jedni chcieli, żeby niedźwiadek został, inni znów byli zdania, że trzeba go w Balezinie wysadzić, bo kierownik napiecie nie wiadomo co na radiotelegrafistę... I jak ten biedak się obroni? Wielu było takich, którzy się z zacietrzewieniem sprzeczało, twierdząc, że to tchórzostwo, że takim jak kierownik nie należy ustępować, a w razie czego można wpisać się do książki zażaleń i zebrać podpisy całego pociągu.

Nikt już nie interesował się krajobrazem za oknami. Pasażerowie nie zauważyli, że wśród czarnych sosen rozjarzyły się purpurowe kiście jarzębiny i nikt nie pomyślał, jak to byłoby dobrze, gdyby pociąg się zatrzymał, bo można by wtedy wyskoczyć, ułamać taką kiść i z sercem walącym ze

84 strachu pobiec z powrotem do szczękających, ruszających wagonów. Jeżeli ktoś wychylał głowę przez okno, to jedynie po to, żeby sprawdzić, czy nie widać już stacji Balezino.

Wreszcie las odsunął się od nasypu, a sam nasyp zrównał się z ziemią, koła zastukały na zwrotnicach. Już peron. Oto chłopaczki sprzedające borówki i jarzębinę w papierowych rożkach zwiniętych z kartek zeszytów, oto kobiety z gorącymi ziemniakami, gotowanymi kurami i mlekiem, oto staruszek z koszykiem pomidorów. Ma na sobie serdak i futrzaną, nie stosowną w tej porze roku, czapkę-uszanke.

Pasażerowie wysypali się z pociągu, ale z początku kupujących było mało. Za to przy czwartym wagonie zebrał się cały tłumek. Kierownik znajdował się już w radiowęźle. Jego okrągła głowa z nasadzoną czapką to pojawiała się w oknie, to znikwała. Potem ludzie z zewnątrz zobaczyli, jak wlał po drabinie i zajrzał na półkę bagażową.

Nagle gruchnęła wieść: niedźwiadek zniknął.

Niebawem spostrzegli radiotelegrafistę, jak na peronie przy kiosku spokojnie przeżuwał kanapkę. Obok niego stał lotnik, który właśnie wziął podaną mu z kiosku paczkę papierosów, otworzył ją bez pośpiechu, wyjął papierosa i zapalił.

Jego twarz o mocnych szczękach, szerokim opalonym czole nieoczekiwanie łagodnej linii niedużych ust, wyrażała roz-

targnienie. Radiotelegrafista, o prostodusznym obliczu, z którego można było wyczytać każdą myśl, starał się pokazać wszystkim, że interesuje go wyłącznie kanapka. I tylko bardzo wnikliwy obserwator umiałby pod maską sztucznej obojętności uchwycić ten wspólny wyraz twarzy, jaki miewają dwie osoby pochłonięte jakąś rozmową. Niby milcząc i patrząc w różne strony, zajęci swoimi sprawami, wiedli jednak taką właśnie niemą rozmowę, doskonale się wzajem rozumiejąc i obydwoj z czegoś się w duchu zaśmiewali.

Nie widzieli przy tym, że z okna radiowęźła, ponad głowami tłoczących się pasażerów, przygląda im się uważnie kierownik pociągu...

Po kilku minutach, kiedy pociąg ruszył i parowóz nabrał już prędkości, wśród pasażerów gruchnęła wieść o przeprowadzanej komisyjnej kontroli.

Nie było w całym pociągu człowieka, który by się nie czuł współwinny w historii z niedźwiadkiem i nie wiedział, po co trzej kontrolerzy wraz z kierownikiem obchodzą wagony i myszkujeją po najtajniejszych zakamarkach, po co odsuwają walizy i podnoszą siedzenia. Podróźni nic nie mówili, ale ich ironiczne spojrzenia sprawiały przykrość nawet otrzaskanym z taką pracą kontrolerom. I dlatego cała komisja musiała się zachowywać ze szczególną, milczącą dostojnością.

Wreszcie dotarli do przedziału, w którym jechał lotnik.

Zanim kierownik pociągu tam wszedł, szepnął coś na ucho starszemu kontrolerowi i ten, wielki chłop o groźnych czarnych wąsach, uosabiający tak, że trudno to sobie lepiej wymarzyć, wszechpotężną władzę, stanął w drzwiach.

Lotnik leżał i czytał. Ujrzawszy kontrolera, leniwie się uniósł.

- Przepraszam, obywatelu majorze. Sprawdzamy miejsca bagażowe - powiedział kontroler. - Proszę pozwolić obejrzeć bagażnik pod panem.

- Tam jest mała walizka, niech się pan nie trudzi. Zająłem bagażem tylko jedno miejsce.

- A u góry?

- U góry nie ma nic mojego.

Kierownik pociągu wcisnął się do przedziału.

- Nie, nie, najmocniej przepraszam - wtrącił i niecierpliwym menem jeszcze bardziej zsunął czapkę na tył głowy. - Komisja kontrolna ma prawo...

- Och Boże - przemówił lotnik. - Niech już będzie. Niedźwiadek jest tutaj!

Uderzył dłonią po ławce, na której siedział, i triumfująco spojrzał w twarz kierownikowi pociągu.

- No i co, kara? - zapytał.

- Nic z tego! - zawołał kierownik. - Byłem pewien! To świetnie - powiedział z radością. - Ktoś u mnie potańcuje...

Lotnik skoczył na równe nogi i stanął piersią w pierś z kierownikiem pociągu..

- W Moskwie nie pożałuję czasu - powiedział wymawiając z naciskiem każde słowo - i pofatyguję się do pańskiej dyrekcji...

- No i zamelduje pan, że ja niby co... Że sumiennie spełniam swoje obowiązki?

- Że z pana urzędas! - z wściekłością warknął lotnik. - I że takich urzędasów...

W tym momencie w wagonie zrobiło się tak jasno, że wszyscy się zdumieli. Z okna uderzył dziwny blask, a przed pociągiem wyrósł brzoźowy gaj. Nie młody zagajnik, nie jakieś różowe, słabe drzewiny, lecz potężny las, ostro pnący się w górę przy samych torach. Jeden po drugim przeskakiwały za oknem pnie tak lśniące, że do wagonu wdarł się ich blask wraz z zapachem jesiennego boru. Nagle las odsunął się i na polanie pozostała jedna brzoza. Pociąg objeżdżał tę polanę i drzewo o potężnym pniu, ze złotymi, szeroko rozłożonymi konarami ukazywało się to pod błękitnym niebem, to pod czarną burzową chmurą i albo pyszniło się zwycięsko skąpane w słońcu, albo stało blade, widmowe, przekwitłe...

Ale ani pasażerowie tłoczący się w drzwiach przedziału, ani lotnik, który teraz stał w korytarzu przy oknie patrząc na brzozę i jej nie widząc - nikt się już więcej nie interesował

przepięknym krajobrazem. Wyciągnawszy szyje pasażerowie i kontrolerzy obserwowali kierownika pociągu, który szybko zwinął pościel lotnika, uniósł siedzenie...

Na dnie bagażowej skrzyni samotnie leżał mały żółty kuferek. Taki mały, że w nim z trudem mogło się zmieścić cywilne ubranie, para bielizny i szczoteczka do zębów.

...Do Moskwy pozostało jeszcze dwie doby i pasażerowie czekali z niecierpliwością, kiedy wreszcie skończy się ta nieprawdopodobnie długa podróż. Obrzydł im kurz, obrzydły restauracyjne obiady, znudziły się lasy, zagajniki, jary. Teraz dopiero zauważyli, że konduktorzy stale spóźniają się z herbatą, że przedziały sprząta się porządnie tylko przed dużymi stacjami, a radiotelegrafista nastawia wciąż te same płyty. I z przykrością wspominali, jak stchórzył radiotelegrafista; nawet lotnik, taki, zdawałoby się, stanowczy mężczyzna, także spasował przed tym biurokrata, kierownikiem pociągu, no i w końcu wyrzucili niedźwiadka...

Tylko nieliczni wtajemniczeni obserwowali dwóch konduktorów wagonu pocztowego, jedyne, do którego nie ma dostępu ani kierownik pociągu, ani kontrolerzy. Przedtem wcale nie było ich widać, a teraz prawie na każdej stacji wyskakiwali i nieśli wzdłuż peronu to torebkę cukierków, to mleko w słoiku. Na którejś stacji, zobaczywszy kobietę sprzedającą miód, rzucili się ku niej, a potem rozmawiając z oży-

wieniem pobiegli ze szklanką miodu do swego wagonu.

Ach, jakże wspaniałe są polowania na Sachalinie! Szczególnie udane, kiedy ma się oswojonego niedźwiedzia. Idzie sobie człek po tajdze uważnie, żeby pod stopami nie trząskał chrust, a obok, zaglądając swojemu panu w twarz, wężąc powietrze, sapiąc i parskając, wali ogromny bury niedźwiedź o wypukłym czole.

Spokojnie, zwierzaku! Niezła tajga, co? Cieszysz się, żeś w tajdze? Ej ty, zuchu, fajny z ciebie zwierz! Wspaniały!

SKACZ, MARGO!

Moja znajoma znalazła się w' kłopotliwej sytuacji. Jej syn wyjechał służbowo, a kiedy miał wracać, przysłał depezę, że delegacja się przedłuża.

Syn kochał i hodował zwierzęta, matka zaś ich nie znosiła. Wszędzie pełno kłaków, śmierzdą, żadnej z nich korzyści, więc po co komu są potrzebne? Pies pilnuje domu, kot łowi myszy, ale to? Małpa Margo niedawno przyjechała z Afryki. Ktoś ją stamtąd przywiózł, ale nie miał gdzie trzymać, podarował drugiemu, tamten jej nie chciał, trzeci wziął, ale się rozmyślił, więc Kostek ją przygarnął. Miał swój pokój, tam gospodarował według własnego uznania, matka nie wtrącała się do jego spraw. Była już na emeryturze i prowadziła uregulowany tryb życia. Cały dzień miała rozplanowany. Starszemu człowiekowi potrzebne jest powietrze, potrzebny spokój, więc pani Taisja polegiwała, słuchała radia, albo siedziała na bulwarze i haftowała.

Syn pracował w szpitalu, nigdzie go nie wysyłano, a tu nagle delegacja do Jarosławia, więc spakował się i pojechał. Małpę zostawił nie pod opieką matki, lecz dziewczynki z tego

91

samego domu, która umiała obchodzić się ze zwierzętami. Ale jak na złość ta mała opiekunka przeziębila się i rodzice nie wypuszczali jej z mieszkania. Pani Taisja zadzwoniła do mnie okropnie zdenerwowana. Nie ma pojęcia, jak syn radzi sobie z małpą. Bo jak się jej daje jeść, to ta niewdzięcznica usiłuje gryźć. Po nocach dokazuje, trzęsie siatką swojej klatki, hałasuje tak, że w dziewięciu mieszkaniach ją słychać. Pani Taisja zaczęła źle sypiać. Syn niebawem wróci. Czy nie wzięłabym na ten czas małpy? Zdaje się, że lubię zwierzęta?

Co robić, musiałam się zgodzić. Ale jak będę sobie dawać radę z Margo - tego nie umiałam sobie wyobrazić. Z małpami nigdy nie miałam do czynienia, a ta w dodatku pewno jest zirytowana, że jej pana nie ma, a gospodyni jej nie lubi.

Myślałam, że mi ją przywiozą w klatce, ale kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam panią Taisję i kierowcę taksówki, który trzymał opatuloną skrzynkę. Była to klatka, tyle że bardzo mała, nadająca się dla morskiej świnki albo dla myszy. Z klatki zwisał rzemyk. Zanim otworzyli drzwiczki, rzemień przymocowali do okiennego uchwyty.

I oto zobaczyłem młodą małpkę, prawie dziecko jeszcze, na wysokich nogach i z lekkim ciałkiem opasanym rzemieniem. Na mnie i na kierowcę nie zwróciła najmniejszej uwagi, ale dostrzegłszy gospodynię zjeżyła się, a futerko na głowie groźnie nasunęło się na brwi.

92

- Wstrętne stworzenie - odchodząc nieco dalej stwierdziła pani Taisja.

Powyciągała z siatki różne torebki - okazało się, że to wiktuały dla małpy - i wydostała butelkę mleka. Kiedy obmacywała torebki mamrocząc: „Chyba niczego nie zapomniałam”, wyglądała na strapioną i rzeczywiście zmęczoną. Poszperała w siatce grzebiąc w jakichś zmiętych, starych szmatkach, może w swoich haftach, znalazła oblatzłą gumową lalkę, rzuciła ją małpie, a ta przygięła się, jak gdyby ktoś zamierzył się na nią kamieniem.

Zatrzasnęłam wejściowe drzwi i wróciłam do pokoju. Usiadłam daleko, tak że nie mogła sięgnąć do mnie, zresztą nawet nie usiłowała. Nasłuchiwała odgłosów ze schodów. Kroki oddalały się.

Widocznie łowiła je uchem dłużej niż ja. Wreszcie umilkły nawet dla niej.

Małpa wskoczyła na wysokie oparcie fotela; przysiadła tam, rozglądając się na wszystkie strony. Tak długo zadzieriała głowę i wierciła się patrząc w sufit, aż mi się zaczęło zdawać, że coś na nim pokazuje. Zdecydowanie coś mi dawała do zrozumienia. Jak gdyby się przymierzała, obmyślała jakąś psotę i chciała, żebym to zauważyła. Więc zauważyłam i obserwowałam ją z niepokojem. Odciągnęła portierę za fotelem. Na pewno wiedziała, że są tam popekane tapety, widziała w innych

domach kąty z po-

!

93

;

pękanymi tapetami. Bez wahania odsunęła portierę i obejrzała się. Siedziałam w milczeniu. Małpa wsadziła palce w podarte miejsce tapety i znowu się obejrzała. Nadal siedziałam bez ruchu. Wtedy skoczyła na podłogę, ściągając i zrywając tapetę do samego dołu.

- Co robisz, wstręciuchu! - krzyknęłam.

Małpa skoczyła na parapet jak piłeczka. Żwawo położyła podniesioną z podłogi lalkę, mimochodem uderzyła w sterzący łeppek gwoźdź. Była wyraźnie zadowolona, ale z czego, co się w niej działo, tego nie zdążyłam zgłębić, robiła bowiem wszystko błyskawicznie. Rozsunęła ściągniętą białą firankę i sprawdziła, czy ją obserwuję. Oczywiście obserwowałam. Więc potrząsnęła firanką i dalej czekała. Nawet wąskie plecy i naiwny karczek czekały. Ale na co?

Pewno na słowa:

- Nie waż się, Margo! Nie waż się, słyszysz?

W oka mgnieniu wyrwała z dobrej, całej firanki strzęp, odwróciła się do mnie i zaczęła go drzeć coraz drobniej i naigrywając się, powoli puszczała białe płatki przed moim nosem.

Wtedy zdenerwowałam się. Zorientowałam się już, że lepiej z nią nie wojować, ale nie miałam pojęcia, co robić. Jak błędna, nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego tak postępuję, podeszłam i usiadłam w fotelu, nad którym ona królowała. Małpa zdetonowała się, zrazu odskoczyła, ale zaraz wyciągnęła do mnie rączkę. Mało nie cofnęłam głowy, ale się

94

,

III-iii

powstrzymałam. Tylko zmrużyłam oczy.

Poczułam, jak dotyka moich rzęs. Nie ciągnęła, nie starała się zadać bólu, tylko ostrożniutko przebierała. Zdziwiłam się. Wobec takiej złośliwości można się spodziewać wszystkiego, tylko nie pieszczoty. Ogarnęła mnie chęć popatrzenia na nią. Ale podobno małpom nie należy patrzeć prosto w oczy, bo biorą to za oznakę wrogości. Więc spod zmrużonych powiek ukradkiem przyglądałam się czarnej suchej mordce z blisko osadzonymi, niepokojąco przezroczystymi oczami. Małpa nie odrywała ode mnie wzroku, jej czujne źrenice wpijały się we mnie.

Zdławiłam w sobie strach. Zwierzę nie znosi braku zaufania, a jeśli ktoś się boi, to znaczy że nie dowierza. Wtłaczałam swój lęk coraz głębiej, ręce położyłam na kolanach, trzymałam je podświadomie w pogotowiu, rozluźniłam ramiona, oparłam głowę o fotel. Jak ciężkie futro zdejmowałam z siebie napięcie, wyzbywałam się go najwyższym wysiłkiem i Margo - jak ona się o tym dowiedziała, jak zrozumiała? - nagle zaczęła po mnie łązić, usadowiła się na ramieniu, ulokowała wygodniej i z całym, w jednej chwili zrodzonym zaufaniem, oparła się o mój policzek miękkim, pokrytym jasnymi włoskami brzuszkiem.

Wyciągnęła mi szpilki z włosów, a ja słuchałam, jak jej kruczy w brzuchu. Zerknęłam z ukosa.

Składała szpilki do

96

pomarszczonej, małej dłoni. Minę miała niestychanie skupioną. Parsknęłam śmiechem, małpa aż podskoczyła i złapała swoją lalkę. Dlaczego sobie o niej przypomniała akurat wtedy, kiedy się zaśmiałam? Co rozumiała z ludzkich spraw ta małpka, to małpie dziecko?

Podsuwała mi lalkę - i odbierała ją, rzucała i spadała za nią z fotela, i ciągnęłyśmy każda do siebie, tak że małośmy nie rozerwały biednej lalki, która gwizdała i piszczała konającym zduszonym piskiem, a Margo wariowała i fikała koziołki z zachwytu. A bodaj ją! Aż się spociłam. Ona też się zmęczyła. Zwiesiła z parapetu ogon, odchyliła go sztywno i połała podłogę. Jak z drzewa. Poszłam po ścierkę.

Kiedy wróciłam z kuchni, stwierdziłam, że pasek Margo jest odpięty, ona zaś grzebie w bieliźnie przygotowanej do prasowania, złożonej w rogu tapczanu. Brała w łapki i wygładzała każdy

kawałek, jak gospodyni, która sprawdza, czy nie ma dziury. Ale małpkę interesowały właściwie guziki. Gdy znajdowała guzik, chwytając go do pyszczka, ssła, a jej twarz zmieniała wyraz z mądrego i zaferowanego na błogo-nie-mowlący.

Kiedy przeszłam obok, Margo ostrzegawczo poderwała się. Ale ja nie miałam zamiaru jej przeszkadzać. Z filizanką mleka w ręku przysiadłam na drugim brzegu tapczanu. Wtedy zbliżyła się i ujęła filizankę w obydwie rączki. Piła po dziecin-

97

nemu, wzdychając po każdym łyku i zatrzymując się dla nabrania tchu. Kiedy się napiła, pobiegła po tapczanie, wlokąc za sobą ogon, prosto do bielizny. Jeszcze nie zdążyła dobrać się do kraciastej perkalowej spódnicy zapinanej do samego dołu. Jedenaście guzików gładkich jak landrynki.

Czekałam. Aż dech wstrzymałam, zamarłam w oczekiwaniu.

Margo plasnęła w dłonie. Wstrząśnięta, zarzuciła nad głową owłosione pajęczę łapki. Zeskoczyła na podłogę ciągnąc za sobą spódnicę. Zaplątała się i upadła, wyskoczyła i pobiegła z triumfem, powiewając spódnicą w powietrzu. Wdrapała się na szafę. Uniosłam się, żeby popatrzeć, jak ona tam chowa nieszczęsną spódnicę, jak wciska ją pomiędzy szafę a ścianę.

Margo skończyła, a ja odwróciłam się szybko. Chrząknęła. Spojrzałam w jej stronę. Przycisnąwszy pierś do samego brzegu szafy, jak biegacz na starcie, wychyliła się do przodu: zaraz na ciebie skoczę! Zobaczysz, jak skacze! Wystawiłam złożone dłonie: wcale się nie boję, skacz! Małpka znowu się wychyliła i wyszczerzyła zęby: tak też się nie boisz?

A może był to jej uśmiech? Tego jeszcze nie umiałam ocenić. Za to nauczyłam się czegoś innego i teraz było mi z nią wesoło.

- No, jazda!

- A jeżeli ugryzę?

- Skacz! Skacz!

98

Małpa rzuciła się do przodu, całym ciałkiem z chwytymi rękami i nogami, z drobnymi zręcznymi ząbkami, pędziła ku mojej twarzy, ja zaś stałam zupełnie bezbronna, znowu nie zdając sobie sprawy, dlaczego tak stoję. Coś mi szeptało, że tak jest dobrze. I małpa przeskoczyła obok. Tylko klapnęła swoją drobną łapką po mojej dłoni i wylądowała na tapczanie. Zerwała się i hop! do góry, i znowu leci straszdełko z czarną mordką, całe w sierści, jasne oczy błyszczą, białe zęby wyszczerzone...

Niedługo gościłam ją u siebie, ale do tej pory często zdarza mi się wspominać tę małą mądrą małpkę.

PRASTARA MUSZLA AMONITU

Właściciel niedźwiedzicy Maszki, lotnik Nagorny, służył na Sachalinie. Kiedy przenoszono go do innej jednostki nie miał ochoty rozstawać się z Maszką, która trafiła do niego jako mały niedźwiadek i już cztery lata była pod jego opieką. Nagorny twierdził, że niedźwiedź pomaga w polowaniu. Duże drapieżniki go unikają, bo jest od nich silniejszy, a sam latem nikogo nie ruszy. Jeżeli się weźmie ze sobą do tajgi niedźwiedzia, to prędzej można napotkać rena czy sarnę, które nie uciekają przed misiem. Myślę, że Nagorny przywiązał się do Maszki, a polowania były tylko pretekstem. Jak zaplanował, tak zrobił. Wiózł niedźwiedzicę w klatce w towarowym wagonie. W Moskwie miał przesiadkę i niedźwiedzia musiał przetransportować z jednego dworca na drugi. Korzystając z pobytu w stolicy zamierzał ofiarować muzeum uniwersytetu moskiewskiego dwumetrowy kieł mamuta znaleziony na Wyspie Wrangla, muszlę amonitu wielkości koła, wykopaną w trakcie robót ziemnych gdzieś w pobliżu jeziora Baskunczak, no i jeszcze jakieś skamieliny.

Pociąg przyjechał w nocy. Oczywiście, muzeum było zamknięte. Nagorny zadzwonił z dworca. Ustaliliśmy, że kie]

100

mamuta i resztę okazów przywiezie do mnie, a ja je potem przekażę uniwersytetowi.

Zeszłam na podwórze, żeby przywitać gościa, który podjechał ciężarówką. Kiedy opuszczono burte, zobaczyłam na platformie klatkę z niedźwiedziem.

- Poznaję pani? - zapytał Nagorny.

Maszkę trudno było poznać. Widziałam ją jako niemowlę, które piszczało, prosiło, aby wziąć je na ręce, i wyłudzało łakocie. Byłam wtedy służbowo na Sachalinie.

Zaczęli wносить do mojego mieszkania różne przedmioty. Było już późno, winda nie jeździła.

Nagorny razem z kierowcą przydźwigali muszlę na siódme piętro. Stopniowo przynieśli wszystko: kiel mamuta, klocek - i to wcale niezły - skamieniałego drzewa, bryłę węgla kamiennego z odciskiem prastarej paproci.

Zeszłam na dół, żeby się pożegnać, kiedy nagle Nagorny zapytał:

- Możemy z Maszką złożyć pani wizytę?

Byłam święcie przekonana, że stroi sobie żarty. Dlatego odpowiedziałam:

- Świetny pomysł.

- Na pewno będzie się pani bała ją wpuścić. Jeszcze zniszczy meble.

W pięć minut później lustrowaliśmy razem mój pokój.

101

- Coś niecoś trzeba będzie sprzątnąć - rzucił rozkazy Nagorny. - Na wszelki wypadek. Stół przesunmy na środek, fotel musimy czymś nakryć. Ma pani marchew? Aha, obwarzanki!

Po schodach wchodziliśmy we czwórkę. Przodem, wpatrując się w drzwi uspionych mieszkań, kroczyłam ja, umierając ze strachu, żeby któryś z sąsiadów nie wyszedł. Za mną sunął Nagorny z Maszką na łańcuchu, pochód zamykał kierowca.

Otworzywszy na oścież drzwi wejściowe i drzwi do pokoju, wpadłam na schody wiodące na zamknięty strych. Niedźwiedzica ochoczo przemierzyła za swym panem siedem pięter, ale przed progiem cofnęła się i siadła.

- No no, Maszka, no no, nie tchórz - przemawiał do niej Nagorny głaszcząc ją i podtykając kawałki cukru.

Zdziwiły mnie jego słowa. Taki olbrzym i tchórzy? Czego może się bać to potężne zwierzę?

Wreszcie weszliśmy do mieszkania. Przystępując próg, spojrzeliśmy z kierowcą na siebie. Widząc jego lekko zbarania-łą minę pomyślałam, że ja także nie wyglądam mądrzej.

I oto pod jasno płonącym żyrandolem siedzi na moim fotelu, w moim pokoju, najprawdziwszy niedźwiedź. Jak kosmata góra wznosi się nad stołem, a ten stół, przy którym mogę posadzić jedenaście osób, sprawia wrażenie malutkiego. Tylko sam niedźwiedź wydaje się prawdziwy, a cała reszta

102

to zabawki: krzeselka, tapczanik, szafeczka, w której stoją książeczki jak dla lalek.

Maszka z apetytem chrupie marchew. Upuściwszy na podłogę ogryzek, bierze z miski obwarzanek. Niedźwiedzie łapsko z zakrzywionymi żelaznymi szponami trzyma go delikatnie. Pysk otwiera się ledwo, ledwo, zęby odgryzają po kawałeczku, je bez chciwości, bez pośpiechu, przygląda się obwarzankowi swoimi niedźwiedzimi ślepkami. Jej pan siedzi obok i także je obwarzanek. My z kierowcą stoimy w drzwiach, już oswoiliśmy się, nabraliśmy odwagi. Zaczynamy dzielić się wrażeniami...

Maszka siedziała zwrócona do nas lewym bokiem, profilem. Na prawo od niej, za plecami lotnika, stało potrójne lustro z szafką. Maszka obróciła głowę w prawo i nagle przestała jeść. Poruszyła się i w lustrze coś się poruszyło. Futro na jej głowie stanęło dęba. W jednej chwili znalazła się na stole. Patrzyła w lustro i cofała się. Tylne łapy straciły oparcie. Maszka chciała się utrzymać i przednią łapą uderzyła w miskę. Marchewki rozsypały się po całym pokoju, miska brzęknęła o podłogę. Maszka z rykiem skoczyła ze stołu. Nagorny chwycił za obrozę i wsiadł niedźwiedzicy na kark, żeby ją zatrzymać, ale jego podeszwy ślizgały się po posadzce.

- Uciekajcie! - krzyknął.

Pry snęliśmy z kierowcą z pokoju. Stojąc w kuchni, sły-

103

szeliśmy ryk niedźwiedzia i zgrzyt łańcucha o futrynę drzwi.

Wyskoczyliśmy na podest. Daleko w dole pędziła niedźwiedzica, a za nią trzymając się łańcucha i poręczy, zjeżdżał jej pan, drobno wystukując, jakby licząc stopnie, obcasami.

Kiedy wypadłam na ulicę, Maszka była już w klatce. Jak udało się ją tam tak szybko zapędzić, tego nie wiem. Miotła się za kratą, nerwowo porykując.

Nagorny siedział na burcie ciężarówki obok klatki i palił. Kiedy mnie zobaczył, zrobił do mnie oko. Włosy przylepiły mu się do czoła, wyglądał jak wiejski chłop, który właśnie skończył rąbać drwa i teraz odpoczywa, zadowolony.

Muszla i kiel mamuta pozostały u mnie, muzeum nie reflektowało na nie, miało już takie eksponaty. Kiedy znajomi pytają, co to za przedmioty, zaraz odżywa mi w pamięci Maszka i jej odwiedziny, i mój powrót po wyprawieniu gości do zdemolowanego pokoju. Gdy doprowadzałam go do porządku, po raz pierwszy poczułam się obco we własnym domu.

Zrozumiałam, że nie powinnam mieszkać w mieście. Gdzieś w leśniczówce albo w jakiejś strażnicy w tajdze. Ale jak oderwać się od miasta, gdzie się człowiek urodził, gdzie są wszyscy przyjaciele, gdzie ma swój dom?

Teraz po nocach często śni mi się, że rano otwieram drzwi i od razu mam przed sobą las.

104

WANGUR

Sożwa zapadła mi głęboko w serce. Na czym polega jej urok? Rzeka Pieczora jest tu zimna, brzegi ma strome, urwiste, między chatami Sożwy swobodnie hula wiatr. Lato jest tu krótkie, śnieg i we wrześniu, i w maju. Jeśli spojrzeć z jednego brzegu na drugi, widać wspinające się po zboczach domy. Przez strumień pełźnie po cienkiej jak zapałka belce mały człowieczek. Przeszedł i pnie się ścieżką do góry. I znowu schodzi, i znowu pełźnie przez drugi strumień.

W dole nad wodą siedzi pies. Szczeka już od dawna i w jego głosie pobrzmiwa rozpacz. Może po tamtej stronie ma swój dom, a może popłynął tam jego gospodarz. Wali gęsty, pierwszy w tym roku śnieg. Pada na ukos i tonie w lodowatej wodzie.

Pies milknie i wchodzi do rzeki. Jego biały łeb oddala się powoli. Ostre uszy położył po sobie.

Coraz dalej i dalej widać samotną białą plamę na czarnej wodzie.

Śnieg rzednie. Na przeciwległym brzegu z lasu wysuwa się ku rzece szeroka droga. To posochiński szlak. W dawnych czasach kupcy wywozili tym szlakiem z Pieczory futra i ryby. Trzysta wiorst dzieli Sożwę od miasta Posochino.

Nie dochodząc do wody, droga rozplywa się na łące, za-

105

rasta krzakami, przegradzają ją parkany i ogrody. Ale u góry trakt rozsuwa leśną gęstwinę i właśnie tam, na wzgórzu, znowu ukazują się człowiek.

Gdyby stał w miejscu, zginąłby z oczu wśród jesiennego, zbrązowiałego listowia. Ale on idzie.

Nawet z takiej odległości widać, że ma lekki chód. Na jego plecach można się domyślić strzelby.

Człowiek zaczyna schodzić, a ponad nim jeszcze ktoś wyłania się z lasu. Z początku trudno się zorientować, co tam się porusza. Ale śnieg przestaje padać, ciężkie nurty Pieczory przybierają jaśniejszą barwę, słońce omiata zbocze. Na drodze stoi łoś.

Człowiek idzie i łoś idzie. Chwytając się gałęzi, ślizgając, człowiek kroczy w dół i łoś także.

Człowiek się zatrzymuje i wyciąga coś z kieszeni. Zwierzę wysuwa ku niemu łeb z rogami jak łopaty.

Pies wyłazi na mieliznę i otrząsa się. Wspina się wyżej, znowu się otrząsa i patrzy gdzieś w dal.

Mordę ma jak toczoną, ogon zwinięty w kłębek na zadzie.

Pies biega po łączce, szczeka, aż tutaj słychać jego podniecony, donośny głos.

A dookoła tajga, gęstwina i błota. Dookoła białawym mchem podszyte bory, w których sosny, z dala jedna od drugiej, strzelają w niebo jak majestatyczne kolumny.

106

I

W Sożwie hoduje się i oswaja łosie. Kiedy tam przyjechałam, na fermie było ośmioro małych, tak do siebie podobnych, że udawało mi się rozróżnić tylko troje: najdoroślejszą Mądralę, najpiękniejszą, wielkooką Birusinę i najdrobniejszego -- Wangura.

Do hodowli selekcyjonowano zdrowe, rosłe i posłuszne zwierzęta, starając się pozbyć narowistych i słabych. Takie okazy odsyłano niekiedy do ogrodów zoologicznych. Hodowcy zwierząt na ogół nie lubią drobnych sztuk, bo te częściej chorują, więcej z nimi kłopotów, w dodatku nigdy nie wiadomo, czy odplacą hodowcy za jego starania, czy dopędzą pozostałe...

Jeśli się zacznie karmić łośiątko, kiedy ma nie więcej niż pięć dni i nie zdążyło jeszcze przyzwyczać się do swojej matki, to na całe życie przywiąże się do człowieka. Ale odchować takiego oseska, to wcale nie taka łatwa sprawa.

Zdawałoby się nic prostszego, jak napoić łośiątko. Nasadzić smoczek na buteleczkę z ciepłym mlekiem i podać mu do pyszczka. Ale przecież nie ma smoczków dla zwierząt, dziecięce zaś są zbyt cienkie. Ponadto dziecięce smoczki często się zlepiają. Łosiątko nałyka się powietrza, boki mu się rozedmą, cały napęcznieje jak bania.

Wtedy trzeba czyściutko wymyć ręce i podać zwierzakowi

108

palec umoczony w mleku. Kiedy łośiątko zabiera się do ssania palca, rękę się opuszcza, a malec pochyla się za nią. Wówczas kładzie się ją do góry dłonią w misce z mlekiem i wysuwa tylko jeden palec, najlepiej środkowy; łośiątko zaczyna wciągać mleko z palca i w ten sposób stopniowo przyzwyczajają się pić z wiaderka.

Ale zdarza się czasem, że nie sposób go zmusić, żeby wziął smoczek do pyszczka. Nie chce także palca. I z miski nie chce pić. A przecież trzeba go poić pięć razy dziennie, inaczej będzie źle.

Łosiątka są ogromnie delikatne.

Tak właśnie było z Wangurem, najdrobniejszym łośiątkiem na fermie. Zadręczył wszystkich, więc postanowiono poić go bez smoczka. Butelkę wsadzono mu głęboko do pyszczka, mleko się lało strumieniem i malec chcąc nie chcąc musiał je połykać. Pozostałe łośięta dawno przyzwyczały się do wiadra, Wangur natomiast przywykł do uniesionej butelki i nic tylko wyciągał mordkę do góry, w czasie karmienia chodził na tylnych nogach, wciąż starając się przednie opuścić człowiekowi na ramiona.

Apetyt miał znakomity. Jak gdyby wiedząc, że musi dopędzić swoich towarzyszy, starał się ze wszystkich sił. Ale i tak nie mógł im dorównać wzrostem. Obok fermy, na ścianie domku, gdzie się mieściła kuchnia dla zwierząt, zawieszono karmniki dla łośi. Zmieniano je przy mnie. Dla siedmiorga

109

nowe korytka były w sam raz, ale Wangurowi krawędź sięgała akurat do gardła i cieśla był bardzo niezadowolony, gdy okazało się, że trzeba korytka odbić i przybić niżej.

Młódź codziennie wypędzano do lasu. Z początku pasła się na skraju. Po piątej rano, - kiedy mgła jeszcze otulała na drugim brzegu czarne cedry i złote modrzewie, Ola szła wąską, co rusz ginącą ścieżką nad rzeką. Za nią, skubiąc po drodze rumiane liście głogu i malin, leniwie sunęły łośięta. Ola prowadziła je za sobą, ale potem chowała się w krzaki, a łośięta szły dalej same, wchodziły w nadbrzeżną tajgę i niekiedy płynąc rzeką można było zobaczyć łośie nastawiające w kierunku łódki wielkie uszy. Pod wieczór ktoś wychodził na ich spotkanie. Czasem trzeba było iść daleko, dalej niż do piaszczystej łąki, na której kiedyś dostrzegłam ślady wydry. Ale najczęściej wracały same.

Pierwszy przybiegał Wangur, co wszystkich złościło, bo nie dożywał się na wypasie jak należy.

Nim wybiła trzecia, potrafił zajrzeć do wszystkich pustych karmników i miotał się, głodny, przed zamkniętymi wrotami.

Kierownik fermy, Aleksiej Koryszew, zwał całą winę za ten stan rzeczy na Daszę Łukmanową, a właściwie na jej brata Fiedię, który rozpuszczał Wangura i wytrącał go z normalnego trybu życia. Łosiątko poznawało okno Fiedi, pod którym ściana była poorana raciczkami: przecież tu właśnie sięgało po swoją porcję chleba!

110

Wangur niesłuchanie często wpadał w tarapaty: to obtarł ęble bok, to znów nie wrócił którejś soboty do domu, lecz ocował w lesie, wreszcie kiedyś właśnie on wbił sobie drzazę w nogę.

Zeby ją wydostać, Wangura powalono na siano, Ola z Ka-ią mocno go przytrzymały, a tymczasem

kierownik naciął oduszeczkę pod racicą i wyciągnął zadę grubości ołówka. Jo i wszyscy besztali łosiątko: i kierownik, i Ola. Uważałam, e niesłusznie, wszak zniosło przykry zabieg bez szemrania, ^zy inne zwierzę też by się tak zachowało?

Po operacji Wangurowi nałożono opatrunek i umieszczono go w małej zagrodzie przy laboratorium. Teraz nie mógł hodzić w tajgę. Jego towarzysze przebiegali obok zagrodki >ręcząc dzwoneczkami, a ten biedak patrzył na nich wielki-ni naiwnymi oczami.

Odwiedzałam go niekiedy. Ani razu nie wstał na moje wo-anie, chociaż znał mnie doskonale.

Przekonałam się o tym už wcześniej, kiedy pewnego dnia wypędzono stadko na nowe niejsce, nie nad rzekę, lecz w górę traktem. Idąc krok w krok :a Daszą i Olą omijałam grząskie kałuże, stapałam po śliskich :wałach chrustu i po miękkim brzegu omszałego bajora. Minę-yśmy deskę przybitą wysoko pomiędzy dwoma gęstymi świer-

111

kami. Jeśli się tam wlezie i posiedzi bez ruchu wstrzymując oddech, można zobaczyć nie tylko ptaka czy wiewiórkę, Iecz także wilka albo niedźwiedzia, a nawet kunę, wielce pożądanego w Soźwie gościa.

Chodząc po tajdze nieraz się zastanawiałam, co właściwk należałoby zrobić, kiedy sie niespodziewanie natknie tu niedźwiedzia. Nie bałam się ani wilka, ani rosomaka, al(niedźwiedzia - okropnie.

Wreszcie kiedyś zapytałam o to dziewczęta. Dasza odpowiedziała:

- Co robić? Iść wolniutko swoją drogą, bo jak będzie miał ochotę, to i tak dopędzi.

Zorientowawszy się po śladach, dokąd poszło stadko, skrzyłyśmy na starą drogę, którą zwożono drwa. Dasza i Ola po kolei wołały i łosięta niebawem przybiegły, ale nie wszystkie, bez Wangura. Dasza i Ola zabrały je do domu, a ja zostałam, żeby odszukać nieszczęsnego malca.

W Soźwie każdy jest tropicielem śladów, każdy umie odczytać, czy zwierzę przeszło po suchym gruncie, czy po mokrym, czy przez omszałe błoto, czy leśnym gąszczem. Ja także już po krótkim pobycie w Soźwie umiałam rozpoznać, gdzie stadko szło spokojnie, a gdzie biegło i skrzyło w las, skąd po jakichś dwustu metrach jeden łos powrócił na drogę.

Nieźródnana cisza jesiennej tajgi! Las milczy jak ska-

112

mieniały, ani wiaterek, ani wiewiórka nie poruszą gałązką. Wysoko w niebie płyną cztery duże ptaki. To ciągną na południe, odlatują drapieżne kanie.

Dzięcioł stuknął krótko w suchy konar. Stańłam, żeby mu się przyjrzeć. Sfrunął na gałąź, usiadł na niej i jakby się zamyślił, a ja aż zamarłam z podziwu na widok tego niezwykle aktywnego ptaka, siedzącego teraz nieruchomo.

Powinna byłam wołać Wangura, ale jakoś mi się nie chciało krzyżeć. Zdawało mi się, że wystraszę kogoś przyczajonego, albo ściągnę na siebie czyjąś złowrogą uwagę. Wreszcie zdobyłam się na zawołanie:

- Wangur!

Usłyszałam, jak mi się załamał głos. Wtedy przemógłszy się, naśladowując hodowców zwierząt, z całych sił krzyknęłam przeciągle i na jednej nucie:

- Wangu-u-ur, prędzej, pręędzej! Prędzej!

Przy drodze stała złamana sosna. Pękła pośrodku, złożyła się na pół i jej górna część trzymając się na ostatniej szczapce zwisała do dołu. Zrudziałym, martwym wierzchołkiem sosna dotykała własnych korzeni.

Wszędzie, dokądkolwiek spojrzałam, sterczały zgniłe pnie, leżały zwalone drzewa lub stały pochylone te, które powinny były się zwalić, ale czepiając się sąsiadów jakoś się jeszcze trzymały.

113

- Wangur... - znowu zaczęłam, kiedy nagle, daleko w przedzie, od szarych pni oderwał się mały szary punkcik. Delikatny, ledwie widoczny, ruszał się i rósł, aż wreszcie dojrzałam, że to biegnie łosiątko.

Biegło dzwoniąc zapamiętałe dzwoneczkiem. Wangur był wąski w piersi, kolana jego cienkich nóżek były ciasno zsunięte, ale szeroko odrzucał na boki raciczki i biegł z rozpędem, lekko i bardzo

szybko.

Czym prędzej wydostałam chleb. Malec piersią mało nie zbił mnie z nóg. Stał przede mną dęba i zaczął machać w powietrzu przednimi racicami. Podskoczył z wytrzeszczonymi ślepiami i rozwichrzoną grzywką, tchnął mi w twarz czymś gorzkim i świeżym, wyrwał chleb i rzucił się na drogę wiodącą do domu.

Pobiegłam za nim. Łoś wcisnął się w krzaki, schował się za zakrętem. Gdy mnie zobaczył, wyskoczył i popędził dalej. Rzuciłam się za nim, a on niespodzianie znowu mi się ukazał. Pędził z powrotem i w biegu zrobił sztuczkę, jakiej jeszcze nie widziałam. Jednocześnie wyrzucił na boki tylne nogi, lewą wysoko w lewo, prawą w prawo i wtedy zrozumiałam, że Wangur tak okazuje swoją radość.

Pojęłam, jak bardzo się niepokoił, kiedy odbił się od stada i jak się teraz cieszy, że spotkał mnie w nieznanym, bezludnym zakątku tajgi.

114

Pewnego dnia po wyjściu z laboratorium postanowiłyśmy z Daszą odwiedzić Wangura. Ferma prowadziła prace naukowe i dlatego w laboratorium, oprócz rozmaitych rzeczy, przechowywano także dzienniki, w których notowano, ile łosiętom przybywa na wadze, jaki jest ich wzrost, jak zaczynają przyzwyczajać się do zaprzęgu. Tam też wyczytałam, że ostatnio, dwudziestego pierwszego września, Mądrała ważyła 113 kg, a Wangur tylko 66 kg. I że wysokość Wangura w kłębie wynosi zaledwie metr i dziesięć centymetrów.

Szliśmy w kierunku szpitalika. Przed nami szedł w stronę zagrodki także Fiedia, brat Daszy. W ładną pogodę Wangur rozkoszował się słońcem i można go było wołać do woli, nawet uchem nie ruszył. Dlatego zdziwiłam się ogromnie, że się podniósł i szybko pokuśtykał do furtki, ledwie chłopaczyna go zawołał. Dopiero potem dowiedziałam się, że latem, w czasie szkolnych ferii, Fiedia nie odstępował go ani na chwilę.

Zatrzymaliśmy się z Daszą przy furtce. Łoś napierało na chłopca, prawie mu włożyło na nogi, kiedy Fiedia wydobywał chleb. Dasza zapytała brata z uśmiechem:

- Wciąż go rozpieszczasz?

Brat nie odezwał się ani słowem.

- Wiesz, ile on waży? - pytała dalej Dasza. - Sześćdziesiąt

115

sześć! Mądrała dwa razy tyle.

- No to co? - mruknął Fiedia.

- A to! Zima za pasem, jak on ją przetrzyma? Kiedy stado pije - nie nadąza, kiedy idzie - nie nadąza. Leniuch, wpadnie w kabałę. Wcale mi go nie żal.

- Nie jest leniuchem. Po prostu słabszy od innych.

- Takich nam nie potrzeba!

Chłopak przestał się sprzeczać. Łagodnie głąskał małego, coś tam wymacał, troskliwie wyciągnął z sierści kolec... Utkwiła mi w pamięci jego ręka o krótkich palcach i szerokiej dłoni, ciemna, zgrubiała dziecinna ręka przeczesująca puszysty kłąb Wangura.

- Dlaczego odzywasz się do niego tak ostro? - zapytałam później Daszę.

- Żeby nie rósł na mazgaja. Zanadto litościwy.

- To chyba dobrze, że ma serce.

- Mnie także Wangura żal - podjęła Dasza. - Ale co robić? Ferma musi wybierać najlepsze sztuki. Matka jego nie jest mleczna, ojciec nie wiadomo jaki, bo on jest od dzikiego. Drobnny, ospały, bez charakteru. Nie uchowa się tutaj. Żeby Fiedia potem nie beczał!

Mnóstwo razy obserwowałam, jak Dasza krząta się koło Wangura i jestem pewna, że niełatwo przychodziło jej wykazanie takiego rozsądku.

116

Wangur był rzeczywiście nieprzeciętnym łosiem. Nie zapomnę, jak się zachowywał tego wieczora, kiedy Mądrała nie wróciła na fermę i Ola poszła z kierownikiem na poszukiwania. Łosięta po karmieniu zaprowadzono na podwórze, żeby odpoczęły. Jedne przestępowały z nogi na nogę, inne pokładały się i przeżuwały w zadumie. Tylko Wangur kręcił się niespokojnie przy parkanie patrząc

w stronę, skąd powinna była zjawić się Mądrała. Urywanie, cienko pogwizdywał: „M...m...m...”. Potem milkł wstrzymując dech i nastawiając uszy w kierunku lasu. Znowu dreptał omijając leżącą Birusinę i dalej żałośnie pokrzykiwał: „M-a! M-a! M-a!” On jeden ze wszystkich przeczuwał coś niedobrego.

- Podoba mi się Wangur - powiedziałam Daszy. - Kierownik przecinał poduszeczkę, wyciągał zadę, a ten nic.

- Łosie muszą być cierpliwe. Niech no tylko ranny spróbuje ryczeć w tajdze! Zaraz go zeżrą. Miała rację. Pracownicy łosiej fermy, hodowcy zwierząt, selekcjonerzy, wszyscy mieli rację. O Wangurze wiedziała Dasza także więcej ode mnie, lepiej rozumiała zwierzęta. Może także lepiej rozumiała życie. Cóż mogłam jej wytłumaczyć? Że z ośmiorga łosiat właśnie ten jest najbardziej... no, subtelny? Że nie tylko człowiek, ale i zwierzę może posiadać duchowy urok? Nie miało to znaczenia dla hodowcy i nie mogło pomóc Wangurowi.

117

4

Nie wiem, czy sądzone mi znaleźć się jeszcze kiedyś w Soż-wie. Okropnie do niej daleko, leży na krańcu świata. Za nią już tylko tajga i pojedyncze chaty - strażnice.

Częściej niż z innymi korespondowałam z panią Elżbietą, starą nauczycielką, która przyjechała nad Pieczorę jeszcze wtedy, gdy nie było samolotów, i do Sożwy dotarła dopiero po miesiącu. Przy jej ganku można było spotkać różnych gości, półkarmiała bowiem ptaki, psy, konie, zdarzało się nawet, że oba sożwińskie konie dreptały przy jej domu.

Niedawno otrzymałam list od kierownika:

„W Sożwie bez zmian. Zima dopiero nastała. Mrozów poniżej 23° jeszcze nie mieliśmy. Rzeka nie stanęła. Odłupaliśmy i przerzucili w poprzek rzeki przybrzeżny lód, dzięki czemu mamy teraz pieszne połączenie z drugim brzegiem...”

Już dwa lata, jak otrzymuję od czasu do czasu takie spokojne listy. Nagle jednego dnia przysły od razu dwa, w obu ten sam wycinek z miejscowej gazety. Notatka nosiła tytuł: „ŁOŚ URATOWAŁ CZŁOWIEKA”.

Dowiedziałam się z niej, że ten leniuch bez charakteru, ten najslabszy, co to „uszy ma długie, ale za grosz z niego pożytku” rzeczywiście uratował człowieka.

118

To nie przypadek, że hodowcy zajmują się osławianiem łosi. Łoszę można doić, daje świetne mleko. Po wertepach tajgi i po błocie, w którym koń uwięźnie, łoś przejdzie. Kiedy trzeba się wsunąć pod zwisające drzewo, łoś pochyła się i nie gorzej od konia pilnuje swoich juków.

Skoro tylko Wangur podrośł, oddano go ekipie geologicznej do noszenia juków.

Paru młodych myśliwych z Sożwy, a z nimi także Dasza i Ola, witało Nowy Rok w lesie. Noc sylwestrową spędzili w myśliwskiej chacie, a nazajutrz rano, wzięwszy parę upieczonych głuszców, poszli z wizytą do geologów, do tej ekipy, gdzie znajdował się Wangur. Dasza i Ola miały zresztą wielką chęć popatrzeć na swego wychowanka.

Na polance przy ognisku krzatali się geolodzy i także piekli ptactwo. Ledwo goście z Sożwy zaczęli z nimi rozmawiać, gdy zobaczyli zbliżającego się łosia. Dasza zawołała go - przybiegł co tchu, przeskoczył przez ognisko, aż w powietrzu zapachniało paloną sierścią. Domyślam się, że Daszę wzruszyło jego zachowanie, chociaż w liście była opanowana jak zwykle. Zirytowała się widząc, że Wangur ma otarty grzbiet i miała nieprzyjemną wymianę zdań z kierownikiem ekipy. Mimo to goście z Sożwy zostali u geologów, żeby jeszcze raz uczcić Nowy Rok.

Zabawa odbywała się w baraku. Rozmowa zeszła na Wan-

119

gura i kierownikowi strzeliło do głowy wpuścić łosia do budynku. I oto nad stołem góruje długi łoś, a z chudej mordy o garbatym nosie ufnie spoglądają na ludzi piękne oczy zwierzęcia.

- Zawinił mi się wobec ciebie, Wangur - zwrócił się do niego kierownik - więc proszę, częstuj się, przyjacielu! Co byś zjadł?

I wyciągnął do niego salaterkę kiszonych ogórków, a łoś obwąchał je i dotknął swoimi miękkimi wargami.

W jakiś czas potem rozeszła się wieść, że Wangur zginął. Stał uwiązany przy baraku, obcy geologowie wzięli go za dzikiego i strzelili do niego. Wtedy zerwał obrożę i uciekł, zostawiając za sobą ślady krwi.

Łosie wyhodowane na fermach żyją w tajdze na wolności. Oswojone nie dziczeją i na zimę zazwyczaj wracają do domu.

Wangur nie wrócił ani latem, ani zimą, lecz na stałe pozostał wśród dzikich. Ale Dasza widziała go tylko raz.

Wiadomo, że łosie nie lubią dzieci. Kiedy z Sożwy wysyła się łosie do ogrodu zoologicznego, w piśmie towarzyszącym zazwyczaj zaznacza się: „Niebezpieczny dla dzieci”.

Jakiegoś Dasza przyjechała służbowo do Kamionki i aż ją zatkło, gdy zobaczyła dorosłego łosia, wokół którego uwijała się dzieciarnia. Cztero- i pięcioletnie bachory wydierały się i smyrgały koło jego nóg, a łos kroczył powoli, co rusz

120

przestępując przez któregoś lub odrzucając raciczkę, żeby nie zawadzić jakiegoś smyka.

Dzieci nie bały się go i może dlatego tak niezwykle się wobec nich zachowywał? Chociaż akurat ten łos mógł mieć po temu szczególne powody...

Dasza sfotografowała Wangura. Kierownik fermy nie rozstaje się z aparatem i jego uczniowie także. Dasza przysłała mi zdjęcie, które oprawiłam i powiesiłam w pokoju. Wangur stoi bokiem, łeb ma zwrócony do obiektywu. Można dostrzec, że jest nieco za lekki na swoje lata, ale sierść ma błyszczącą, a młode, aksamitne rogi wieńczą mu głowę. Morda chuda i nerwowa, oczy patrzą ufnie, ale zarazem niespokojnie.

Na grzbiecie i na boku Wangura widać jaśniejsze plamy. Jedna, większa - to ślad po jukach, druga - po kulach. Jak pisze Dasza z goryczą, „nawsadzali mu ich, niemało”. Na Wangura polują. Ranny chowa się i cierpi w cichości, tak jak umiał cierpieć w milczeniu, kiedy był jeszcze malutki.

A potem było tak. Nad Pieczorą - powyżej Sożwy - znajduje się uszmańska strażnica, w której mieszkał leśniczy z rodziną. Najmłodsze z dzieci miało cztery lata. Samodzielny, jak wszystkie dzieci na Północy, chłopaczyna przyniósł z domu wiosło i sam odwiązał łódź. Rodzice zorientowali się nie od razu. Leśniczy pobiegł na poszukiwania, nadawszy przez radiowęzeł do najbliższych osad, że stało się nieszczęście.

121

Rankiem następnego dnia Fiedia Łukmanow także postanowił przetrząsnąć okolice, przyszło mu bowiem do głowy, że chłopczek zszedł na ląd, a łódka zatonała. Śnieg może zasypać ślady i dziecko zamarznie. Fiedia zamierzał spenetrować lewy brzeg Pieczory, nad którym mieszkał z rodzicami, i jeszcze za dnia wrócić do domu.

Kiedy wyruszył w drogę, uszmańskiego zbiega już znaleziono żywego i całego, ale o tym Fiedia nie wiedział. W domu przypuszczano, że chłopiec po szkole zasiedział się u któregoś z kolegów. Nie znam dotychczas bliższych szczegółów, wiem tylko, że Fiedia skrzył nogę, kiedy był już daleko.

Wieczór i noc spędził w mroźnej tajdze. Nad ranem zobaczył łosie bez dzwoneczków, mimo to zaczął je przywoływać. Miał wielkie szczęście, gdyż jednym ze stada okazał się Wangur.

Jak chłopiec wdrapał się na Wangura i jak się na nim utrzymał - nie sposób pojąć. Ujeżdżacze łosi twierdzą, że nawet w siodle, trzymając za uzdę, trudno na łosiu usiedzieć. Łos lubi pochylić się, żeby skubnąć listek, a wtedy nawet jeśli jeździec mocno się trzyma, to też leci przez łeb z pęczkiem wyrwanej sierści w garści. Dla mnie pozostanie zagadką także i to, dlaczego Wangur, którego ani rany, ani głód nie przypędziły do ludzi, tym razem przyszedł do domu. Pokazywałam znajomym wycinek z gazety, opisywałam im charakter Wangura. Zdaniem zoologów - nie ma w tej historii nic

nie-

122

prawdopodobnego. Ale ja nie umiem opanować wzruszenia, kiedy pomyślę, jak w mroźnej porannej mgle przez tajgę biegnie łos dysząc parą i jak się przygina pod złamaną sosną, chroniąc niesione na grzbiecie brzemię.

5

Pani Elżbieta napisała, że się niepokoi, jak teraz traktują Wangura. Jest przecież od mała mlecznej

łoszy, no i niezbyt rosły...

Za to Ola twierdzi w liście, że Wangur to „wspaniały facet” i że kierownik nałożył mu dwie mocne obroże z dzwonekami, żeby słycać było z daleka, że idzie łoś oswojony, którego nie wolno tknąć. A sam Aleksiej Koryszew oburza się w liście, że w ciągu przeszło dwóch lat Wangur się nie wyżył złego nawyku i wciąż drepcze pod oknem Łukmanowów. Kiedy chłopak leży chory i ktoś przyjdzie go odwiedzić - pierwsze co widzi, to krążek wychuchany przez Wangura w zamrażniętej szybie, a w nim oszroniały pysk łośia.

[EST NAS TROJE

Znałam i psa, i wilczka. Nord był bardzo piękny, ale na nój gust wszystkie dogi są urodziwe, więc nie zwracałam na niego specjalnej uwagi. Interesował mnie Sułtan, którego wychowywano z przeznaczeniem dla areny. Wilk pracujący w tłumie ludzi jest zjawiskiem rzadkim. Dla wilka, nawet nie płoszonego polowaniem, ludzkie głosy dobiegające ze wszystkich stron, ich oddechy i ruchy kojarzą się z obławą. Wilczęta nabierają rozumu jeszcze jako oseski i od matki-wilczycy przejmują wiedzę, kto jest dla nich wrogiem.

Szura Waganowa, treserka z Kącika Durowa, dawno chciała wyhodować wilczka. Treserzy są bardzo wybredni przy wyborze zwierząt, ale ponieważ przywieziono jednego jedyne go wilczka, nie było się nad czym zastanawiać. Zresztą, któż mógł odgadnąć, jaki charakter kryje w sobie skomlący kłębuszek z niemowlęc o zamglonym spojrzeniem. Nadzieję dawała młodość wilczka - dziesięć dni - oraz to, że był on drobny nawet na ten wiek. Nie potrafił chwycić smoczka i z początku trzeba było go karmić pipetką.

Szura nie rozstawała się z nim ani w dzień, ani w nocy. Przez niego chodziła przepasana, w kurtce, bo malec spał pod

125

tą kurtką, a w upalne dni nosiła go w torbie na zakupy. Jeździł trolejbusami i pociągami elektrycznymi, kołysał się w torbie płynąc nad chodnikiem. Przyzwyczajał się do zapachu asfaltu i samochodowych spalin, do zapachu tłumu i do ulicznego hałasu.

Potem zaczęto Sułtana prowadzić na smyczy. Wilka można niekiedy pomylić z psem-owczarkiem, ale podrastający Sułtan miał w swojej powierzchowności, a zwłaszcza w sposobie przytulania się do ścian i parkanów coś tak zdecydowanie wilczego, że przechodnie na jego widok przystawali mówiąc ze zdumieniem :

- Patrzcie, wilka prowadzą!

W mieszkaniu Szury zaczęły się niesnaski. Dopóki Sułtan był mały, a wracając ze spaceru godnie kroczył korytarzem piękny Nord, sąsiedzi nie protestowali. Ale kiedy wtulając się w kąty i wyraźnie bojąc się ludzi zaczął przez mieszkanie przemykać ten dzikus, sąsiedzi nie wytrzymali. Toteż Szura, nie zważając na sprzeciwy matki, postanowiła na pewien czas przenieść się do innego mieszkania. Obok Kącika Durowa burzono dom. Zachował się jeszcze pokój z ciemną komórką. Możliwe, że ta komórka służyła ongiś za kuchnię, bo był w niej wodociąg. Tu właśnie zatniesz kała Szura.

W połowie sierpnia Szura wraz z tresowanymi zwierzętami

126

wyjechała na jedną dobę do obozu pionierów, a ja zostałam ia noc z wilczkiem i z psem.

1

Było już po dziewiątej wieczorem, kiedy wymacałam pod :apadniętym stopniem ganka klucz i otworzyłam drzwi, za :tórymi dreptał uradowany pies. Mało mnie po ciemku nie walił z nóg, ale udało mi się szybko połączyć zagięte dwa końce >rzewodów elektrycznych i w pokoju rozblęzło światło. Wilczek iedział na łańcuchu pod oknem, a jego ogon, choć nieśmiało, ednak przyjaźnie szurał po podłodze.

Usiadłam na posłaniu. Był to położony wprost na podło-Ize podarty materac zasłany workowym płótnem, na którym szął wyleniały wełniany koc, poduszki nie było. Tak sypia utaj Szura, zamiast w domu, gdzie ma czyste i miękkie łóżko.

Doradzono mi, żeby m przed wilczkiem wszystko pochowała, lawet pantofle powiesiła na ścianie, zanim pójdę spać. Na najwyższym gwoździu powiesiłam plecak. Pies, opierając się >rzednimi łapami o ścianę, wspiął się na całą swoją gigantyczną wysokość, żeby go obwąchać i dopiero wtedy

zauważyłam, jak tiski jest sufit.

Idę spojrzeć przez okno, pies kroczy obok mnie. Kiedy wyglądam, Nord opierając się o mnie także wygląda. Wilczek

127

tymczasem cofa się do kąta, naprężając łańcuch.

Patrzemy razem z Nordem na ulicę. Parter, burzany pod samym oknem. Nasze światło sięga do parkanu grubo otulonego bluszczem. Po tamtej stronie parkanu rośnie lipa, aż do nas pochyla się jej szeroki konar. Cisza. Głęboki sen starego, kończącego swój żywot, moskiewskiego domu.

Brzęcząc łańcuchem rzuca się do mnie Sułtan. Uwija się, oblizuje ręce, skacze do twarzy. Chcę go pogłaskać - odskakuje w bok. Kładę rękę na łbie Norda, wilczek szeroko otwiera oczy, cały nateżony, jak gdyby ktoś wydał mu komendę: „Na start! Uwaga!” Jak tylko zaczynam coś mówić do Norda, Sułtan zrywa się ze swojego miejsca.

Może jest zazdrosny, a może nabiera do mnie zaufania poprzez psa? Ale to zaufanie trwa krótko.

Kiedy robię krok w jego kierunku, cały kuli się i czołga w kąt. Już wyrósł i na pewno najmniej nadaje się do tresury z całego miotu.

Przypominają mi się słowa Szury: „Co ja zrobię, jeżeli będzie się bał areny? Co z nim się wtedy stanie?”

2

Zakasawszy ręce, z wielkiego rondla wybieram, jak mi nakazano, lepsze kąski dla wilczka i wkładam do mniejszego garnka. Karmię każde zwierzę oddzielnie. Nord zanurzył się

128

o uszy, wilczkowi zaś udaje się co i raz wyjrzeć ze swego ;arnka. Patrzy jak gdyby ponad okularami.

Wreszcie Nord odszedł, zwałił się najedzony. Wilczek akże się najadł. Ostatnie kawałki powyciągał na podłogę i to iden polizał, to drugi. Zaczął przeżuwać bez przekonania.

Sprzątam naczynia, spuszczam Sułtana z łańcucha. Wy-iągam z plecaka filiżankę, termos, herbatniki. Siadam na aateracu. Okazuje się, że herbatniki lubią wszyscy. Wilczek apie je z daleka. Nalewam sobie drugą filiżankę herbaty, za-ręcam pusty termos. Czas spać.

Jak sobie wyobrażam tę noc?

O Nordzie w ogóle nie myślałam. Położy się, gdzie zechce. \i wilczek będzie ze mną na posłaniu. Jest płochliwy, nie-ifhy, prawdziwe wilcze szczenię. Ale w ciemności, w zaciszu, tośród nocnego domowego spokoju, będę go umiała przekonać lo siebie...

Opuszczam filiżankę na kolana. Wilczek usiłuje nosem tworzyć psu mordę. Tak robią wilczki, kiedy powraca wilk-ojciec obzarty mięsem, w ten sposób zmuszają go do wyrzuce-ia i dla nich trochę zdobyczy. Ale przecież Sułtan jest syty! czyżby miał ochotę jeść dalej?

Pies zrywa się z icsie lwim rykiem. Wilczek przysiadając, komląc i pozostawiając dziecinnie małe kałuże napastuje forda. Domyślam się, że to stara znajomość. Nord aż wyje

129

z irytacji, widocznie dawno mu obrzydła ta natarczywa wilcza latorośl.

Popiskując, żałośliwie rozciągając wargi, kroczeniem, boczkiem Sułtan zbliża się z rozjaśnioną, przymilną lisią fizjonomią. Nord wymyka się warcząc ostrzegawczo, ale nim zdążył się odwrócić, szczenię błyskawicznie wsadza mu w mordę swój ostry nos.

Pies wypluwa wilczą mordkę, nie ma już sił, jęcząc ogryza znienawidzony łebek. Wilczek skowyczy, ale nie przestaje włazić psu do paszczy.

Nord jest już wściekły. Dawno mógłby zamordować szczeniaka... Przyglądam się. Pies nie gryzie, tylko szybko i drobno szczypie, jakby strzygł maszynką wilczą głowę.

Wilczek, wypluty po raz nie wiadomo który, cały jest pośliniony, rozczochrany, wzbudzający litość. Ale ma żelazny charakter. Z uporem dąży do swego, a ja go chyba zaczynam rozumieć.

3

Nord poddał się. Dobrowolnie wziął do pyska wilczy łeb. Stoją bez ruchu. Z boku, z psiego pyska wygląda duże wilcze oko.

Sułtan ma rzadziutki, cienki ogon. Przyjdzie czas, że ten

130

gon przemieni się w bujne чудо, będzie kołysał się płynnie, wyrażając wilcze uczucia bez pośpiechu, z godnością. Teraz :dnak ogonek drży prosząco. Nord odsunął się, ogon za-iarł. Nord warczy bez złości i kładzie na Sułtanie łapę. Suł-m natychmiast wali się z nóg. Pies chwytą go za szyję. Nę-zna szyjka! Dopiero w przyszłości kark stanie się potężny, ;by wytrzymać ciężar owcy, którą zwierzę niesie dla swoich szeńiąt. Ale tymczasem dog może przegryźć trzy takie szyje a jednym zamachem.

Spostrzegam, że teraz Nord inaczej obchodzi się z wilcz-iem. Przed chwilą wydawało mi się, że byłby zdolny go za-usić, teraz już tak nie myślę. Wilczek także dostrzegł różni-?. Przedtem wystarczyło, że pies go porzucił, a zaraz kładł ę i podpełzał, teraz zaś szybko zrywa się na nogi i czeka, od tej chwili, kiedy zezując do tyłu zaczął wyczekiwać, z całą ewnością wiadomo, że sprawa jest już załatwiona, że Nord im do niego podbiegnie - otóż od tej chwili Sułtan jest jak dmieniony. Nord wsadził nos w obrośnięte ucho Sułtana. Jak gdyby ę miał zadusić, pies unosi się i pada, ale tylko przyciska wil-ska do podłogi. Leżą. Zrywają się. Wilczek swobodnie przetyka się pod wysokim łukiem wciągniętego psiego brzucha, [ord dopędza go jednym skokiem i zbija z nóg. Dziwię się Nordowi. Nawet w zapale walki nie zapomina,

131

kim jest jego przeciwnik. Ani razu jego straszne, wielkie łapy nie nastąpiły na małe rozpostarte ciałko.

Nord jest piękny. Wszystko w nim jest piękne. Wysokie przednie łapy, szeroka pierś, zgrabne tylne łapy i długi ogon, zwężający się stopniowo na kształt bicia. I kolor. Znaczący nie są entuzjastami białych dogów, a Nord jest biały, tylko jedno ucho ma ciemne. Tak, to jest pies. Prawdziwy pies. Tak też się nazywa: „dog” znaczy po angielsku pies. Nie różnokolorowe teriery i jamniki, lecz biały dog, czysty pies - kryształ.

Nord jest arystokratą, choć jego fizjonomia wygląda nieco prostacko. Ma różowy nos i różowe wargi, jak gdyby najadł się żurawinowego kisielu z mlekiem i dopiero co podniósł] łeb znad miski. Dog zabawia się lekko, od niechcenia, wilczek natomiast figluje jak opętany, z pasją. Nord trąca wilczka pod brzuch; bodzie go przymrużywszy oczy, wilcze ślepka zawsze czuwają^ nawet w czasie zabawy. Śledzą mnie. Szczęniak fika kozły jak oszalały, ale oczki nie znikają, nie toną, jakby zawsze pływały po wierzchu te pochmurne wilcze oczy.

Sułtan już więcej nie skomle. Milczy. Raczej umrze, niż się przyzna, że boli, kiedy jest przyciśnięty grzbietem do futryny drzwi. W pokoju rozlega się hałas padających ciał i sapanie. Sułtan ma ciężkie kości, można pomyśleć, że ktoś rzuca stołkiem.

132

Sułtan jest wymęczony, zmaltretowany; Sułtan jest zadowolony.

4

Leżę w poprzek postłania, oparta ramionami o ścianę, łoję się poruszyć. Udało mi się wleźć w cudzą skórę. Skórę mierzwioną, ale wilczą, i to napelnia mnie poczuciem godno-;i. Okazuje się, że ten malec ma dla siebie mnóstwo szacunku. V dodatku jest zakochany w Nordzie jak mały chłopak w do-osłym mężczyźnie-siłaczu.

Co my tam rozumiemy, jeśli chodzi o zwierzęta! Mamy :dnakową miarkę dla wszystkiego, co żyje. Wydajemy natych-liast sąd: szczeniak żebrze. Czyż nie jest jasne jak na dłoni, e on się poniża, że ma na mordzie wypisane pochlebstwo?

Nie! Wcale nie jest jasne. Sułtan się nie poniżał. Przy-ierał jedynie taką minę, która by nie odstraszała, lecz za-tięcała; która by skusiła psa. Nie „podchodził boczkiem”, :cz otwarcie nadstawał bok, zaufaniem obezwładniając polnego Norda. Domagał się, żeby pies wziął jego mordkę r swoją paszczę, a przecież nie potrzebował mięsa. Potrzebny ił był wilczy znak serdecznej przychylności. Znak miłości równości, nie w sensie siły fizycznej, lecz uczuciowo. Żądał, ^by się z nim liczo tak, jak się liczą z młodym wilczkiem ' stadzie.

133

„...Jestem mały, ale wam równy. Nie waście się zapominać, że tu jestem. Jest nas troje!”

Pewnie tak właśnie coś teraz przemawia w Sułtanie, choć ta przemowa jest chaotyczna. Ciężko mu

wśród nas. Jest stale podenerwowany, szarpie go obawa. I to obawa nie sprecyzowana, bo wilczyca nie zdążyła przekazać swojemu dziecięciu, kim jest on, a kim my. Ale „ja” zbudziło się w nim, pewne siebie, niezależne wilcze „ja”, które ludzie będą się starali stłam-sić tresurą.

5

Głęboka noc. Ułożywszy zamiast poduszki kurtkę, idę w kierunku Sułtana. Wilczek przemyka się do komórki i obserwuje mnie stamtąd. Przykucam, przywołuję go, namawiam. Sułtan podpełza. Biorę go na ręce. Będzie z niego dobry wilk, ledwo mogę go donieść do tapczanu. Próbuję się położyć nie wypuszczając go z rąk i mało nie padam razem z nim, taki jest ciężki. Stare sprężyny zgrzytają, Sułtan panicznie wydziera się z moich rąk.

Wyciągam rękę do Norda i wtedy Sułtan biegnie z powrotem. Wypycha psa. Jest nas troje!
Za obrożę wciągam Sułtana na materac. Opiera się, wchodzi tylko do połowy.

134

Oto wilcza mordka! Wytwornie zaostrzona przy samym no-ie, ale cała pękata. To dziecinna pyzatość. U wilka okres izieciństwa trwa długo. Nieprędko pyzata morda przemieni się w toczony pysk dorosłego zwierzęcia.

Oto jego czoło. Porośnięty ciemną sierścią na jeża nie-/inny pagórek - dziecinne czoło wilka.
Arcymądre wilcze :zoło!

A oczy? Jeszcze nie widać ich skośnego wykroju. Sułtan farruce się we mnie uporczywie, a mnie zwiduje się coś zna-:>mego w jego wzroku. Przypomina mi ślepeca; tak jak ślepiec na słuchające oczy.

Głaszczę pysk i widzę, że on drży. Drapię go za uchem, łaszczę po gardle, dyszę ciepłem na jego ciemność, przemawiam, łowią, mówię, zda się, kamień by usłyszał. Wilczek wświdro-ruje się coraz wyżej.

Milknę. Wilcze wargi drżą.

6

Przy tapczanie wyciągnął się Nord. Sułtan leży pod ścia-tą i drzemie. Uszy mu się obracają: po pokoju krąży mucha. Areszcie mucha uspokoiła się. Cisza. Wilk podnosi łeb. Stuu-iiuje świeże pęknięcie na suficie. Nad posłaniem wisiał kiedyś

135

dywan: wilczek przygląda się gwoździom. Najpierw patrzy na ostatni, potem na drugi z rzędu, na każdy po kolei. Zatrzymał wzrok na czymś wyżej - tam wetknięta jest pluskiewka. Jeszcze wyżej mój plecak. Na suficie mucha, gipsowa sztukateria, pęknięcie.

Ale równocześnie w polu widzenia jestem ja, co sekunda -ja, lękliwie, podejrzliwie, nie wypuszczana z pola widzenia, śledzona, ja - człowiek. Po mnie ślizgają się bezradne oczy zwierzęcia.

Co stoi pomiędzy mną a tym wilczkiem?

Na pół zaduszona owca, zaszczuty koń, oswojone łosiątko Mądrala zagryzione przez wilki w pieczorskiej tajdze pod Sożwą. I Delfa, nasza przepiękna Delfa, seter. Z romanowskie-go leśnictwa, gdzie polował mój ojciec, wywabiły ją wilki. (Ta sama poza, boczkim, boczkim, ja ci ufam, chcesz, to się poznamy? I jak gdyby pod wpływem strachu - w nogi, a ty mnie goń!).

Między nami jest para wilków zastrzelonych zimą podczas oblawy. I roczniak - opowiadał mi ojciec. Roczniak, roczny wilczek, który popiskiwał w krzakach i prosił się, głupi, za chorągiewki, do rodziców.

Między nami jest niezręczny, kaleczący strzał. I potrzask. I splądrowane legowisko, i wepchnięte wór wilczęta...

136

Wcale nie wołam Norda, a on stuka po podłodze ogonem. Stuka, bo chce do mnie. Opuszczam z materaca rękę. Ujmuję silną psią łapę.

Nie jestem sama. Jest nas troje. Ale żadne z nas nie może zasnąć; ani wilk, ani ja, ani pies. Sen od nas uleciał.

NIEPOTRZEBNE

Kierowcy domu wypoczynkowego kazano zabrać ze sobą kotkę z kociakiem i w Głumiszczach oddać w punkcie weterynaryjnym. Kierowca jechał do miasta i wioził zużyte opony, czasu miał bardzo mało. A na punkcie weterynaryjnym, jak na złość, wywiesili ogłoszenie: „Dzisiaj punkt nieczynny”.

Kierowca rozejrzył się. Nie miał się nawet kogo zapytać, co ma zrobić z kotami. Podwórce puste, izba także pusta, goła, niezamieszkała, bez okiennic, bez ganku. Wielkie nie-umyte okna, przez które widać na wylot cały dom. Na parapecie zakopcona maszynka naftowa. Dobre biuro, nie mogli sobie zafundować elektrycznej płytki!

Wrócił do ciężarówki, wlaź do szoferki, zapalił motor i ruszył wolniutko. Obok niego stało tekturowe pudełko od makaronu owiązane szpagatem. Siedziały w nim koty. Jedna z czterech kłapek zamykających pudło była naderwana, żeby koty miały powietrze.

Wyjeżdżając ze wsi zobaczył przy pompie staruchę z wiadrami i przyhamował.

- Babciu! - krzyknął przez drogę. - Nie potrzeba wam przypadkiem kotów?

138

Starucha wyprostowała się z obrażoną miną i poszła dalej niosąc na ramionach koromysło.

- Ja się poważnie pytam - wołał dalej kierowca.

Stara udawała, że nie słyszy.

Na sto pięćdziesiątym kilometrze skręcił w prawo, na asfalt. Dobrze znał te strony. Nie było tu żadnych wsi, a nawet w czasie grzybobrania rzadko się kogoś spotkało.

Wyjął z szoferki pudło. Wszedł do lasu i rozwiązał je. Najpierw wyskoczyła stara kotka, za nią kociak. W pierwszej chwili kotka przybrała czujną postawę, ale zaraz podeszła do kierowcy i zaczęła mu się ocierać o nogi. Kociak wyciągnął się na ziemi i chwycił matkę za głowę - zebrało mu się na

figle.

Kierowca wrócił do samochodu, koty za nim. Tupnął, ale wcale się nie zlekły. Wtedy wyciągnął z szoferki zawiniątko. Poszedł głębiej w las, rozłożył gazetę, pokruszył białego chleba, rzucił kawałek kielbasy. Koty zaczęły jeść. Kierowca odszedł, obejrzał się, potem pobiegł skacząc przez krzaki i odwracając twarz, żeby jej nie chłostały gałęzie.

1

Nie była to ani syberyjska, ani syjamska kotka, lecz taka najzwyczajniejsza, z szarą pręgowaną sierścią. Nie sprawiała wra-

139

żenia dobrze odżywionej, chociaż mieszkała przy domu wypoczynkowym. Futerko jej rzeczywiście lśniło, ale zwierzak był niepokazny, o zapadniętych bokach i cienkim ogonie.

Umiała odróżnić tego, komu głaskanie jej sprawiało przyjemność, od tych, którzy tego nie lubili i nie pchała się na kolana wszystkim bez wyбору. Było to pogodne, nienatrętne zwierzątko, jak gdyby stworzone dla domu wypoczynkowego. Kolana nie czuły jej wagi, ręce uspokajały się na ciepłym futerku, a senne mruczenie łagodziło stany napięcia i zmęczenia.

Kiedy przyniosła kociaki, zostawiono jej jednego. Potem znów miała małe, które odebrano, ale tego pierwszego nikt nie ruszał. Toteż kotka żyła sobie spokojnie, dopóki nie zjawiała się siostra gospodyni, która uważała, że tam, gdzie są ludzie, nie ma miejsca dla zwierząt.

Była jesienna noc z marznącą lodową mgłą. Kotka skostniała i niepewnie biegała po lesie. Kociak często zostawał w tyle. Czekala na niego i razem truchcikiem biegli dalej.

Niebawem kociak zgłodniał. Kotka siadła, a malec tknął ją nosem w brzuch. Miał już pół roku, ale dotychczas jeszcze ssał. Dopędził już prawie matkę wzrostem, lecz siły dotychczas nie nabrał, był wąski w piersi i za lekki na swój wzrost.

Kotka oblizala jego mokre uszy, chudą mokną szyjkę, wyprostowała się i odwróciła głowę w stronę domu. Biegnać

140

i przystając, wciąż patrzyła w tym kierunku. Jak gdyby wsłuchiwała się w bezludną przestrzeń, którą miała pokonać.

Wiedziała mnóstwo. Skąd? Podobno koty nie umieją myśleć. A jednak wiedziała doskonale, że się

znajdują z dala od domu. Że zbliżają się chłody. Że trzeba się spieszyć.

Nie wiedziała tylko jednego: nie kojarzyła swojego nieszczęścia z człowiekiem. Zapomniała, jak ją wsadzono do pudła, pamiętała tylko, że człowiek ją z tego pudła wypuścił i nakarmił. Nie mogła zrozumieć, że to ludzie ją tutaj wywieźli i pilno jej było wrócić do ludzi.

2

Szosa wiodąca do domu wiła się w licznych zakrętach, kotka zaś szła prosto, najkrótszą drogą i teraz musiała przeciąć szosę.

Wydostała się na asfalt i z góry patrzyła, jak z rowu gramoli się z mordowany kociak. Potem zaczęła przechodzić przez drogę niespiesznie, chociaż słyszała ciężki warkot i zgrzytanie pędzącej ciężarówka.

Kierowca zauważył przed sobą kota. Przypomniało mu się, jak to kiedyś przejechał takiego samego i potem długo nie mógł znaleźć sobie miejsca. Teraz nie miał ochoty hamować, bo pięcotonówka z przyczepą-cysterną rozwinęła dużą prędkość. Liczył, że kot zdąży dojść do prawego pobocza, on zaś

141

skręci nieco w lewo i zwierzęcia nie zawadzi.

Ale z przydrożnego rowu prosto pod samochód wybiegł kociak. Ciężarówka wzbijała kurz przy lewym poboczu, przepuszczając kociaka pomiędzy kołami. Cysterna także przeleciała ponad zwierzęciem, gdyby nie łańcuch, który zwiisał z tyłu i podskakując pędził po asfalcie. Koła ominęły kociaka, ale uderzył go łańcuch.

Kotka zbiegła z szosy i czekała w połowie przydrożnej skarpy. Pod nią było błoto, a między kępami sterczała żółta turzyca. Kotka wypatrywała miejsca, przez które mogłaby przeprowadzić kociaka suchą nogą.

Warkot oddalał się, ziemia przestawała drżeć. Poranny wietrzyk odpędzał spaliny. Kociak się nie zjawiał. Wtedy kotka zaczęła ponaglać miauczeć. Zaniepokoila ją cisza, więc wskoczyła na szosę.

Leżał tam płściutki jak dywanik, jak gdyby wcale nie miał ciała, tylko składał się z najeżonej skórki. Ale oddychał. Nieznacznie, ledwie widocznie drgał jego bok.

Kotka przeskoczyła przez niego, ostro skręciła i przestąpiła z powrotem. Pochyliła się i zaczęła zagarniać w pyszczek skórę na karku małego. Potem, chwyciwszy jak najwygodniej, wstała. Kociak był za duży dla swojej matki, połowa jego długiego tułowia leżała na bruku, nawet przednie zwisające bezwładnie łapy sięgały ziemi.

142

■v

"f-y

Wysoko zadzierając głowę i odwracając ją na bok, żeby móc stąpać, poniosła kociaka przez drogę. Przeszła poboczem do końca bajorka i zaczęła schodzić na drugą stronę. Szła tyłem i ściągała kociaka do siebie krótkimi szarpnięciami. Na łączce mocno, całym pyskiem przygryzła dziecku kark i po-taszczyła je do lasu. Tam wepchnęła je do jamy pod świerkowym wykrotem. Musiał tu ktoś przed nimi mieszkać. Zeszłoroczne liście uleżały się pod czymś ciężkim ciałem i zachowały czyjś obcy zapach. Zwisające z góry korzenie były poszarpane i poogryzane. Gdziekolwiek pozostały odcisnięte ślady czyichś szerokich łap.

Ale ani te ślady, ani w ogóle nic nie mogło oderwać kotki od jej jedynej troski. Pełzała teraz dookoła swego dziecka, chcąc je rozgrzać, układała się brzuchem pod jego nosem, żeby je znęcił zapach mleka. Kociak się nie ruszał, nic nie słyszał, nie chciał jeść i serce matki bolało nieznośnie. Minęło dużo czasu, może doba, może znacznie więcej i nagle kociak się poruszył. Skrobął łapką, słabo czepiając się korzeni, chciał się przewrócić na drugi bok. Kotka mu pomogła. Kiedy wreszcie złapał trochę tchu po tym wysiłku, poprosił jeść. Kotka natychmiast się ułożyła, ale poczuła, że ma mało mleka. Kociak chciał ssać* ale ona mogła mu dać jedynie jakieś nędzne kropelki.

Wybiegła z jamy jak strzała. Gdziekolwiek się chowa,

144

ikkolwiek ludzie go rozpieszczą - kot zawsze pozostanie tyśliwym. Kotka w domu wyłowila

wszystkie myszy i dalej olowała w ogrodzie. Miała tam swoje tajemne miejsca, jedno r krzakach nie opodał kortu tenisowego. Tam właśnie często rzylatywały ptaki, zwłaszcza pod jesień, kiedy osypują się asionka. Zoczywszy ptaka, kotka pełzając obchodziła krzewy czaiła się naprzeciwko ogrodzenia z siatki. Wiedziała z do-wiadczenia, że ptak przeleci pomiędzy krzakami dołem, gdzie I rzadsze gałęzie i że nie zdąży poderwać się przed ogrodze-iem, więc wybrawszy odpowiednią chwilę, rzucała się. Ptak ylatywał z gęstwiny i nadziewał się na metalową siatkę.

3

Kotka okazała się przygotowana do życia na swobodzie ie gorzej niż do życia domowego. Lubiła ciepło i umiała je lależć w lesie nawet w czasie surowej jesieni. Potrafiła, kiedy zęba, zdobyć jedzenie, stać ją też było na obronę swego ziecka.

Jama, w której zdrowiał kociak, należała do niedźwiedzia pewnego dnia gospodarz zjawił się, zamierzając ulokować się a zimę w swoim legowisku.

Przed wejściem hałaśliwie wciągnął powietrze. Obcy za-ich bynajmniej go nie spieszył, zwierz zrozumiał, że w jego

145

domu zagnieździł się jakiś drobiazg. Ale i drobiazg może przysporzyć kłopotów. Niedźwiedź wyciągnął się i na początek wsunął do jamy łapę. Ale natychmiast ją wyszarpnął i skoczył na równe nogi, kiedy do pyska rzucił mu się żywy kłębek. Niedźwiedź odepchnął ten kłębek i oto stały teraz naprzeciwko siebie potężny zwierz i domowe kručze stworzenie z wygiętym w kabłąk grzbietem i zmierzwionym jak u dzikiego kotę

futerkiem.

Niedźwiedziowi także sierść zjeżyła się na łbie. Rozstawi: przednie łapy, opuścił ku ziemi wypukły łeb i zezował małym oczkami w stronę nieznanego wroga. A wróg parskął stuliwszy uszy i otwierając różowy pyszczek, potem znowu natar usiłując trafić w oczy.

Niedźwiedź stanął dęba i jak oszalały zaczął się cofać Kotka miotala się i zręcznie wywijala mu się spod łap. Duż; zwierz rozwścieczony znów na nią ruszył, ale kotka nie usta piła. Miauknęła świdrująco, ostrzegawczo - i znowu skoczył;

na przeciwnika.

Niebawem przez polanę pędem biegł niedźwiedź, a za nią gnała jak wichher mała rozzłoszczona kotka. Dopadła go i wczę piła mu się w kudłaty zad. Niedźwiedź ryknął i umknął w krza ki łamiąc z trzaskiem gałęzie. Wtedy kotka wróciła truchci kiem do jamy. Przy wejściu długo, nerwowo wylizywał futerko. Często podnosiła głowę, a jej pociemniałe oczy płc

146

ięły. Wreszcie wlażła do jamy i leżący w głębi kociak usłyszał :kliwe matczyne mruczenie. Po nocach śnił się jej rodzinny dom. Ledwo się zdrzem-leła, a już jawił się jej pod postacią dźwięków i zapachów. Śniła się jej podłoga w jadalni pachnąca zawsze po letniemu,)o od wywoskowanych parkietów bił zapach kwiatu lipowego. Śniło się jej, że leży na podłodze nasłuchując, jak się)oruszają, jak rozmawiają ludzie. Niekiedy czuła aksamitny lotyk fotela i drażniący zapach lakieru drewnianego oparcia, zazwyczaj tak się sadowiła, żeby mieć oparcie jak najdalej >d noska, ale teraz miła się jej wydawała nawet woń lakieru, zdychała ją, a dookoła rozbrzmiewały ludzkie głosy. Bez :ońca śnili jej się ludzie. Nie widziała ich, lecz słyszała i wykuwała. Śniły się jej ludzkie ręce - i to różne, obojętne i uważne, lotykające jej grzbietu od niechcenia, byle jak, i takie, które ;łaskały, żeby popieścić. Tęskniła do wszelkich rąk, ale do sdnych najmocniej. Pojawiały się razem z rozkosznym ciepłem pijącym od pieców, razem z odgłosem wody zaczynającej przeć w kotłach i ze stukotem węgla lecącego z łopaty do paniska. Tych rąk kotka także nie widziała, jedynie przypomi-tała sobie, jak po jej futerku ślizga się twarda starcza dłoń, w jej kociej duszy narasta silne poczucie bezpieczeństwa.

Coraz częściej i uporczywiej wywabiała kociaka z jamy. 'osłuszny matce, wypelzał wielkogłowy, z przezroczytymi

147

uszami. Kotka wołała go za sobą, on zaś stapał nieśmiało, ja] gdyby nigdy nie umiał chodzić.

Pewnego razu kotka nie wróciła do jamy, lecz oddalał: się coraz bardziej, więc kociak pomalutku za

nią pobrnął, ali szybko się zmęczył i przysiadł patrząc na matkę smutnymi wyblakłymi oczami. Kotka zwolniła kroku i kociak dopędzi ją kulejąc.

4

W pogodny, słoneczny, ale i lekko mroźny dzień w brami domu wczasowego zjawily się dwa koty. Kuracjusze spaceru jacy w ogrodzie widzieli, jak przemknęły aleją i weszły p< schodkach na werandę. Ktoś otworzył drzwi i jeden z kotów ten mniejszy, usiłował wskoczyć do domu. Był brudny i wy nędzniały, więc człowiek go odpędził. Inni robili to samo. Ra udało mu się wcisnąć przez niedomknięte drzwi, ale zara został wyrzucony na werandę, jednak z niepojętym uporei pchał się dalej. Drugi kot, także chudy i w dodatku kulawi wlażł w ką i stamtąd przyglądał się swemu towarzyszowi.

Ludzie nakruszyli białego chleba i pokroili zostawionej z śniadania kiełbasy. Mniejszy trochę zjadł, a kiedy widzowi się rozeszli, zniknęła reszta kiełbasy. Na pewno zjadł ją te większy.

148

Przez pół dnia koty snuły się w pobliżu drzwi. Słońce zaszło, jrzeciagi popędziły śnieg po kamiennej posadzce werandy. Większy kot drżał z zimna w swoim kącie, mniejszy stał na :zatach przy wejściu.

Nadeszła pora obiadu. Co chwila ktoś wchodził do domu, ile kotka i tak nie mogła pokonać bariery z kaloszy i butów. Siedziała przed zamkniętymi drzwiami, a jej niezbyt gęstym uterkiem targał wiatr.

Potem oba koty zginęły. Ich ślad prowadził do piwnicz-lego okienka, za którym słyhać było łoskot węgla rzucanego zuflą do paleniska. Na zawianej śniegiem ramie pod zamkniętym lufcikiem odcisnęły się ślady dwóch łapek. Widocznie kot zaglądał przez okienko.

Całą zimę kluczyły wokół domu kocie ślady. Większy kot nie wlażył nikomu w oczy, mniejszego niekiedy spotykano, ale za każdym razem krył się spieszenie. Podejrzewano, że ko-bieta-palacz trzyma potajemnie koty w kotłowni, chociaż nikt ich tam nigdy nie zastał. Możliwe, że zagnieździły się pod którymś z nie zamieszkanym zimą pawilonów i zdziczały ostatecznie, a wiadomo, że dzikie koty umieją kryć się przed ludźmi.

40SENKA KATARYNIARZA

Obawiam się, że opowiadanie o Tiszce, o Tiszuniu, o toni suśle, wypadnie niezbyt wesoło. A chciałabym napisać je ak, żeby czytanie sprawiało samą radość, bo patrzeć na riszkę jest naprawdę radością! Ale mój suseł należy nie do mnie. Staralam się o tym nie myśleć - prawie cały rok był i mnie i kiedy wychodziłam z domu choćby tylko na parę godzin, bardzo do niego tęskniłam. On zapewne również. Gdy wracałam i wkładałam klucz do drzwi, z pokoju rozlegał się jodniecony, cieniutki głosik - ze schodów brzmiał on jak prze-likliwe pogwizdywanie ptaka. Nie zdejmując palta otwiera-am klatkę, z której spieszenie wychodził Tiszka. Stawał na ylnie łapki, pochylał się do mnie przyciskając do swojej piersi jąsteczki i pieszczotliwie mrucał: „U-u-u-u”. Brałam go na ręce, grubego, ciężkiego, on zaś z radością)gryzał mi podbródek, usiłował polizać wargi, a uspokoiwszy ;ię, bacznie przyglądał się, a potem próbował zębkiem guzik)d palta. Kiedy znalazł się na podłodze, dopiero wtedy zaczy-lał się przeciągać, ziewać po długim spaniu i w podskokach)iegł za mną do kuchni, przysadzisty, krzywołapy jak niedź-viadek. Po drodze wskakiwał do pewnego miejsca - tak samo

151

jak kot-czyścioszek miał określone miejsce dla załatwienia określonych spraw. Ja tymczasem odkrawałam kromkę świeżego razowego chleba, po obu stronach polewałam ją olejem słonecznikowym i przygotowywałam w ten sposób jego ulubiony przysmak. Suseł już dreptał u moich stóp. Wyprostowany stawał słupka i niecierpliwie obracał się w miejscu -wypisz wymaluj jakby tańczył walca. Nikt go przecież nie uczył, a tańczył walca. Nie chciało mi się go tresować, ale gdyby mu poświęcić trochę wysiłku, tańczyłby doskonale. I to w rytm muzyki.

Zanim go zobaczyłam, nigdy w życiu nie widziałam susłów, tylko o nich słyzałam. W dalekiej przeszłości mieszkał kiedyś w jednym mieszkaniu z nami Wałek, chudziutki chłopaczyna o białych miękkich włoskach. Przychodził do niego Sławek, bardzo żywy i silny grubasek, śmieszek nie lada. W pokoju Walka stało pianino i często obaj coś tam sobie wygrywali, ja zaś godzinami

wyczekiwałam pod drzwiami: oni mieli po dwanaście lat, a ja sześć.

Pamiętam, jak pewnego razu drzwi się otworzyły, wyrzwał

Walek i powiedział koledze:

- Stoi. Wpuścić?

Sławek coś tam odpowiedział w pokoju, obaj się roześmiali. Kazali mi wleźć na kanapę. Walek siadł do pianina i chłopcy zaśpiewali:

152

y

t

I

r

To tu, to tam mój wiedzie szlak, A suseł zawsze ze mną. Pod wieczór znajdę sobie dach, A suseł zawsze ze mną...

Nie wiem, co mnie wtedy tak zadziwiło i w śpiewakach, i w samej piosence, ale zdumiało do tego stopnia, że pozostało w pamięci na zawsze. Później Walek zginął na froncie, a Sławek podobno mieszka w Moskwie, może przeczyta te słowa i przypomni sobie ów koncert. Wiele razy potem słyszałam tę beztroską i zarazem smutną piosenkę Beethovena, piosenkę kataryniarza z Sabaudii, który wędrował z tresowanym susłem i z katarynką. Zastanawiałam się, co to za zwierzę, do którego człowiek tak się przywiązuje, z którym wędruje przez różne kraje, zarabia na chleb i dzieli się ostatnim kęsem. Jego pan gra na katarynce, suseł tańczy w takt muzyki i wyciąga losy; a wyciąga je na pewno nie zębami, lecz łapką. Teraz przecież już wiem, jaką łapkę ma suseł: potrafi w piąstce zaciskać chleb, a kiedy go noszę, trzyma się za mój palec.

Tiszka jadł chleb, trochę orzechów albo pestek słonecznikowych, odgryzał kawałki jabłka i wciągał w siebie jak rurkę makaronu piórko zielonego szczypiorku. Kiedy był syty, nie stronił od zabawy.

Szedł: do ataku stając dęba i otwierając wąski pyszczek z potężnymi siekaczami: „U-u-u-u-u!”

153

Kiedy go popychałam, miękko walił się na plecy, pokazując zarośnięty złocistą sierścią brzuch, szczypał, leciutko chwycił zębami, przewalał się z boku na bok. Daję słowo, że miałam z nim uciechę, śmiałam się niekiedy do łez, tak zabawny był ten zwierzak.

Jakże mi przykro, że nikt prócz mnie nie mógł tego widzieć! Najmilsze cechy Tiszy były ukryte przed wzrokiem obcych. Przy obcych nigdy się nie bawił, bo się ich bał. Spoglądał na gości z daleka, siedział wpatrzony w podłogę, przybierając dziwne pozy ni to zamyślenia, ni to drzemki.

Ale jeśli ktoś usiłował się zbliżyć, zaraz umykał. Uznawał tylko mnie. Ach tak, pamiętał także i tamtego człowieka, swego poprzedniego właściciela, który mi go przyniósł. Kiedy zjawił się po pół roku, Tisza poznał go natychmiast. Ale dokazywał i pieścił się tylko ze mną.

Gdy się najadł i nafiłował, pozostawiony samemu sobie łąził gapiąc się na boki i szukając zajęcia. Wiedział doskonale, co można, a czego nie wolno robić. Nie wolno otwierać szafy w ścianie, włączyć tam i wyrzucać obuwia robiąc bałagan. Toteż zatrzymywał się przed szafą, wyczekiwał zezując bystrym czarnym oczkiem. Milczałam. Wtedy od dołu chwycił zębami za drzwiczki i próbował je otworzyć...

- Co robisz? Kto ci pozwolił? Czy porządne susły tak postępują? Tak postępują tylko niedobre susły

- mówiłam

154

IPv.ł

i mówiłam, co mi ślina na język przyniosła, bo besztanie Tiszki także mnie bawiło.

Tiszka wypadł z szafy mrużąc oczy z niezadowoleniem i opuściwszy jak winowajca głowę czekał, aż burza przeminie. A kiedy cichła, szedł w ten róg przedpokoju, gdzie mu było wolno. Odsuwał walizkę, zwijał w kłębek chodniczek i wciskał go, wbijał w szparę pomiędzy walizką a ścianą.

Przyciągał odkurzacz, przynosił gumowe buty i wśród tego całego rozgardiaszu (rozgardiasz istniał dla nas, a dla niego był to przejściowy nieporządek, jaki bywa w trakcie budowy) przechadzał się bez pośpiechu, oglądał, poprawiał - przysadzisty, mocny, gospodarny suseł-chłoppek.

Robiło się późno, kładłam się spać. Tiszka włożył na tapczan, usadawiał się jak najbliżej, wsuwał jak najciaśniej pod rękę, głowę układał na moim ramieniu. Otwierałam książkę. Pewnej nocy nagle zawyła syrena, po czym kilka samochodów przejechało ulicę. Jeden mig - i suseł znalazł się na podłodze pod fotelem. Stamtąd patrzył na mnie wystraszony, a świst zwierzaka, świst, jaki zazwyczaj słychać tylko w kazachstańskim stepie, teraz rozlegał się z okna moskiewskiego domu. - Niebezpieczeństwo! Chować się, bracia! - krzyczał Tiszka.

Nie miałam wątpliwości, że ten krzyk był skierowany do mnie, bo przecież tutaj ja byłam jego „braćmi”.

156

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam suśli sygnał alarmowy i wbiegłam do pokoju, żeby się zorientować, o co chodzi, zobaczyłam sikorkę, która wpadła przez okno. Ptak fruwał z jednego regału na drugi, a Tiszka nie spuszczał z niego oka. Był zdenerwowany, ale zapamiętał, że na jego alarm stawiałam się niezwłocznie. Od tej pory, gdy miał dosyć siedzenia w klatce (choć miał tam deskę do gryzienia i wciśnięty pomiędzy pręty tłuczek do ziemniaków, którym lubił się bawić, no i kawałek sosnowej kory, także do ogryzania), gdy słyszał moje kroki, wydawał świst. I choć bym była akurat bardzo zajęta, zawsze spieszyłam do niego, bo nie mogłam pozostać obojętna słysząc jego wezwanie.

Noc. Tiszka zasypiał drgając od czasu do czasu. Łapy mu się poruszały, lekko mrugał powiekami, z cicha mlaskał i wzdychał. Potem zapadał w głęboki sen i już się nie ruszał. Teraz można było strzelać z armat i bić w bębny, Tiszka bynajmniej nie budził się natychmiast, spał „jak suseł”. Odkładałam książkę. W takich chwilach myślałam sobie niekiedy, że zwierzak należy nie do mnie. Nadejdzie lato i zgłosi się po niego właściciel. Powtarzałam sobie w duchu, że jego pan jest biologiem, że lubi zwierzęta i umie się z nimi obchodzić, że suseł będzie tam biegał po trawie, rył w prawdziwej ziemi. Urządzono już dla niego nie w pokoju, lecz na dworze prawdziwe legowisko, gdzie może zasnąć na całą zimę, a przecież

157

wiadomo, że długotrwały sen to dla susłów samo zdrowie. Wmawiałam sobie, że Tiszce u jego pana będzie lepiej niż u mnie...

Za oknami miasto cichło, nadchodził czas spoczynku. Jak tam jest w piosence?

Prześpimy tutaj aż do dnia,

Mój suseł zawsze ze mną.

A jutro znowu w drogę czas...

Zgasila lampę. Jeszcze przez kilka chwil wsłuchiwałam się w spokojny oddech Tiszki.

Spis treści

Od autora..... 5

Syneczek..... 8

Czaruś..... 19

Opowieść o gąsiątku 29

Niefrasobliwy szczupaczek . . 41

Ich dwoje..... 51

Smutne opowiadanie 59

Knot..... 66

Wspaniałe zwierze..... 74

Skacz, Margo!..... 91

Prastara muszla amonitu . . 100

Jest nas troje..... 125

Niepotrzebne..... 138

Piosenka kataryniarza . . . 151

ч

*

r-

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” WARSZAWA 1977

Wydanie I. Nakład 60000 + 350 egz.

Objętość: ark. wyd. 6,68; ark. druk. 10,77

Papier offset, ki. III, 110 g BI

Skład: Łódzkie Zakłady Graficzne,

Zakład Nr 2, ul. PKWN Nr 18. Zam. 65/18

Druk-i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne

Katowice, ul. Liebknechta 22

Nr prod. I 1-75/74 Zam. 379/76-F-21

Cena zł 30.-

*

r